Ostatnie lata T. Lenartowicza.

Kilka listów i wierszy z autografów w 25-tą rocznicę zgonu poety († 3 lutego 1893).

(Ciąg dalszy.)

III.

Pomysł Lenartowicza zakreślony był na szeroką skalę. Chciał on zrazu sam, później przy pomocy innych zorganizować szereg odczytów w stolicach Europy, by tą drogą zapoznać wszystkie narody z literaturą słowiańską, a także sprawą polską. Korzystając z zaproszenia Akademii Mickiewicza w Bolonii [1]), a raczej jej prezesa prof. Santagaty, stanął po raz pierwszy na katedrze 8 czerwca 1874 r., roztaczając przed wytwornem audytoryum pogląd na pisma polityczne Adama Mickiewicza. — Zachęcony powodzeniem, w r. 1879 wznowił odczyty, by wreszcie wygłosić ich cały szereg dla słuchaczy Uniwersytetu bolońskiego. A kiedy tu zainteresowanie literaturą i położeniem Polski rosło z dnia na dzień — zwrócił się

[1]) Por. A. Begey: Program i statut Akademii Mickiewiczowskiej w Bolonii. „Tydzień“. Lwów. 20 czerwca 1880. 392.

Akademia Mickiewicza w Bolonii. „Biblioteka Warszawska“, 1879, III., 89.

St. Bełza: Akademia Mickiewicza w Bolonii. „Tygodnik illustrowany“, 1879, VII., 354 i 386.

do T. T. Jeża z projektem, by prelecye takie ogłosić i po za granicami Włoch. Projekt upadł — musiał więc Lenartowicz zostać tylko przy Bolonii, gdzie występował teraz coraz częściej, wciagając słuchaczy nietylko w tok zdarzeń na polu literatury, ale i życia politycznego swej Ojczyzny.[1]) Myślano już o katedrze uniwersyteckiej dla niego, znalazł się nawet ofiarny obywatel (inż. Zienkowicz), który złożył 1000 lirów na cel tych wykładów, — wszystko to jednak było po za sferą pomysłów Lenartowicza. On bowiem w skromności swej o profesurę nie zabiegał, tem bardziej, iż widział, że rząd włoski nie jest dla rzeczy tej przychylnie usposobiony, z złożonych pieniędzy nie wziął ani franka. Pracował bezinteresownie, wiele trudu wkładając w przygotowanie odczytów. Dopiero z czasem król włoski przeznaczył 1000 fr. rocznie z własnych funduszów na ten cel. Wówczas to pobierał Lenartowicz całych 500 fr. za dwa półrocza, oddając drugą połowę lektorce języka polskiego i rossyjskiego, Malwinie Ogonowskiej. Mimo to mówiono i pisano w kraju, iż na prelekcyach tych zarabia poeta wiele, a zawistni wytwarzali nieprzychylną opinię o nim. Niemało przyczyniał się też do tego A. Wołynski[2]), który, siedząc w Bolonii, chciał objąć wykłady, by mógł błyszczeć *ex cathedra*.

Lecz Lenartowicz nie schodził z raz obranej drogi. Z młodzieńczym zapałem stawał zawsze przed słuchaczami i prawił im o skarbach polskiej poezyi od czasów „Żywota poczciwego człowieka“ Mikołaja Reja aż po „Farysa“ K. Balińskiego. Mówił spokojnie, w okresach pięknych podkreślał wielkie myśli i górne idee wieszcze. Często mowa jego była pełną polotu, a poetyckie zwroty pokrywały nie jedną lukę, jaka znalazła się w tych odczytach, przygotowanych przez człowieka bądź co bądź nie przywykłego do pracy historyczno-literackiej. Ale młódź słuchała go z całem zainteresowaniem. Lenartowicz więc cel swój osiągnął i cieszył się tem tak szczerze, jak mało którą inną rzeczą.

//„Najukochańszy. Aniołku drogi a przyjacielu mój — pisał do Mieczysława Darowskiego z Bolonii, d. 17 maja 1883 r., — wracam z Uniwersytetu; cały jak pijany, ale nie głupią pychą,

---

[1]) Por. „Sul carrattere della poesia polono-slava“. Fiorence 1886 i artykuł dr. Sasa p. t.: „O charakterze polsko-słowiańskiej poezyi“: odczyty T. L. na Wszechnicy Bolońskiej. „Przewodnik naukowy i literacki“ z r. 1887.

[2]) St. Bełza: Dr. Artur Wołynski. „Tygodnik illustrowany“, 1879, VII., 27.

bo ja niczem jestem, ale Pan Bóg to tak daje naszej biednej Polsce. Na ostatniej dzisiejszej lekcyi sala była przepełniona; mówiłem głosem czystym i silnym, a każdy peryod przerywano mi oklaskami. Nie zaparłem się wiary naszej świętej, mówiłem o pieśni Boga Rodzicy, i oto między tą młodzieżą podawaną za bezbożną, jaki się objawił entuzyazm; bogdajby nasza była do tej bezbożnej podobną. Z Polaków byli Pawińscy i zupełnie pogodzili się ze mną co do mojego sądu o historyi; był także p. Rutanowski, który odjeżdża, czy już odjechał do Krakowa. Po południu około godz. 5 pedel przyniósł mi list z Uniwersytetu, który dam Agatonowi[1]) do wydrukowania. Nie straciłem więc czasu, pracując przez ten rok jak potrzeba. // Na przyszły trzeba się przez lato przysposabiać, bo to nie łatwa rzecz mówić do tych ludzi.

„Młodzież zrobiła mi owacyę — jak to dziś mówią. Kiedym wychodził, cała zgromadzona w kurytarzach i pod filarami, na znak jednego zdjęła kapelusze i wszyscy raz jeszcze do pojazdu z oklaskami mnie odprowadzali, wyciągając ręce jeden przez drugiego do uścisku. Taka chwila warta czegoś w życiu.

„Starzy Magriniści — powiadano mi, — że łzy mieli w oczach, ale bom też wszystko powiedział, — a teraz chciałbym zdechnąć gdzie w polskim boru, obok Ciebie, Mieczysławie, za którym tęskno duszy mojej.

„Pani Ogonowska najszczęśliwsza z wczorajszej dla Polski (boć to nie dla mnie, ale dla Matuli wszystko) sympatyi, dziękuje Tobie / Najukochańszy — oraz to nasze Polaczysko stare Santagata[2]).

---

[1]) Gillerowi.

[2]) Prof. Dominik Santagata, ur. 1 stycznia 1812 r. w Bolonii, studya odbywał w Paryżu. Tam to zetknął się z Adamem Mickiewiczem i słuchał wykładów jego w Collège de France. Pod wpływem słów poety zapłonął szczerą sympatyą dla Polski; był założycielem Akademii im. Mickiewicza w Bolonii, wygłosił też kilka odczytów o Polsce na dorocznych posiedzeniach tejże Akademii. On to zajmował się również żywo T. Lenartowiczem i jego twórczością. Dzięki zabiegom prof. S. znalazł się tłumacz i nakładca na „Poesie di Teofilo Lenartowicz Torino, Presso Augusto Federico Negro, Editore via Lagrange, 1869“, jakoteż na „Poesie Polacche di T. Lenartowicz. Fiorence 1871“. Z jego namowy tłumaczyła na włoskie Zofia Lenartowiczowa „Emisaryusza“ Kraszewskiego (La Spia). Sam Santagata pracował na niwie przyrodniczej i z tego zakresu, jak niemniej fizyki i geologii, ogłosił szereg wybitnych rozpraw i studyów naukowych.

Por. A. Wołyński: Prof. Dominik Santagata. „Kłosy“ 1880, Nr. 792. — Tenże: „Tygodnik illustrowany“ 1879, VIII., 258.

Gdybyś Ty go poznał; ale cóż, kiedy wciąż coś gada, że ma przeczucie śmierci i że niezadługo się wyniesie. Jest to taki szlachcic polski z tych zacnych, jakbyś go gdzieś z Proszowskiego czy Miechowskiego wypisał. Cała bieda, że po polsku nie umie.

„Chłopcy (z Uniwersytetu) uczą się polskiego języka na łeb na szyję, a jednego p. Ogonowska pacierza całego nauczyła na pamięć i recytuje jak należy. Inni drą się do Mickiewicza, ale jeszcze ugryźć nie mogą.

„Dziś wracam do Florencyi wieczorem i tu list piszę na kolanie.

„Napiszcie z panem Janem parę słów po francusku do starego, to mu radość sprawicie. Adres: Bologna [via port] a la porta Maggiore Nr. 1, Santagata.

„Twój do śmierci *Teofil.*" [1])

Praca Lenartowicza i z innej strony spotkała się z równem uznaniem. Uniwersytet boloński nadał mu tytuł profesora, kanclerz państwa zaszczycił go pismem odręcznem, król przyznał mu order korony włoskiej, a rektorat Wszechnicy kilkakrotnie wyrażał mu podziękę w długich i serdecznych listach. I tak uchylili czoła przed polskim poetą synowie obcego narodu, jakby dla zawstydzenia tych wszystkich, którzy niepomni na trud starca i jego najlepsze zamiary — słali z Ojczyzny, miast zachęty i poparcia, słowa nie zawsze słusznej krytyki.

---

[1]) W przypisku: „Pij wodę czystą źródlaną, rano wstawaj, oddechaj koszonem sianem, przy obiedzie wypij kieliszek starego wina. Baw się z dzieciuszkami i czytaj pismo święte, a jeszcze może kiedy się zobaczymy. Uściskaj Jana Kantego i Żulińskich — mój złoty, mój ukochany. Twój *Teofil.*

„Kornela (Ujejskiego) pozdrów serdecznie.

„Kłamstwo, jakoby mnie minister za klerykała jakiegoś uważał. Potwarze i kłamstwa, ale niech ich tam gęś kopnie.

„Pociśnij Mrówkę, niech prędko drukuje, a ostatnią korektę mi przysyła. Mniejsza o peryod jeden, niech tam i wyrzucą."

Obok osobistych rad a towarzyskich uprzejmości, w dopisku tym są dwie wzmianki, dotyczące kwestyj, wiążących się z działalnością literacką. I tak, pierwsza prostuje wiadomości, puszczone przez złośliwych do gazet galicyjskich, jakoby Lenartowicz dlatego nie został dopuszczony do docentury, ponieważ ministerstwo oświaty uważało go za klerykała. Druga wspomina o wydawnictwie „Cieni Syberyjskich", które w r. 1883 drukowały się nakładem „Biblioteki Mrówki" i wyszły tam, jako tomik 177 (w 16-ce, str. 93). Redakcya czyniła pewne zastrzeżenia co do tekstu „Nocy 29 listopada".

IV.

Ktokolwiek czytał wywody Lenartowicza na temat idei narodowej, ten zauważyć musiał, iż w tym kierunku nie uznawał poeta żadnych koncesyj ani ustępstw i dalekim był od wdawania się w jakiekolwiek układy. Mimo to jednak nie można posądzić go o szowinizm, o zaślepienie i jakąkolwiek partyjność. Wiedział tylko, iż sercem trzeba się zwracać ku przeszłości — teraźniejszość zaś sądzić z wyrozumieniem niezbyt daleko idącem jednakże. Terytoryalnie natomiast uważał on Polskę jako całość niepodzielną, całość, w której Polska, Ruś i Litwa stanowiły jedność, uzyskaną ongiś nietylko przez unie, ale zasadzającą się głównie na braterstwie plemion i ludów. Ztąd to w czasach, kiedy walka narodowościowa w Galicyi wschodniej zaczęła się rozogniać — nie przesądził kwestyi, ale uważał ją za rzecz przejściową. Toż zachował dla obu stron uczucia najszczersze — a do grona przyjaciół swych zaliczał wielu z pośród obozu przeciwnego. Nie chciał bowiem polityki przenosić do spraw życia towarzyskiego. Najwyżej atoli z pośród wszystkich cenił Platona Kosteckiego [1]) może właśnie za to, iż ów był zwolennikiem i pośrednikiem zgody polsko-ruskiej. I to było powodem owego tonu, jaki przejawił się n. p. w takim liście [2]):

„Bracie serdeczny — mnohaja lita! Żyj długo, a doczekaj się lepszej doli, bieda nam, ale ponieważ wszystko się na świecie zmienia, więc i naszej niedoli kiedyś na koniec przyjdzie.

---

[1]) Platon Kostecki urodził się w r. 1832 w Więckowicach pod Samborem. Do r. 1854 uczęszczał na wydział prawny Uniwersytetu we Lwowie. Po ukończeniu tegoż poświęcił się dziennikartwu i literaturze, ogłaszając w pismach współczesnych, obok artykułów literackich i politycznych, także poezye polskie i ruskie. Od r. 1854—1855 redagował czasopismo ruskie p. t.: „Zorja hałycka". W latach 1855—6 był współpracownikiem „Dziennika Literackiego", następnie „Dziennika Polskiego". W dalszym ciągu stał na czele redakcyi tygodnika p. n.: „Ruch Literacki", wreszcie objął redakcyę „Gazety Narodowej", na którem to stanowisku zastał go w r. 1888 jubileusz 30-letniej pracy na niwie pisarskiej, obchodzony uroczyście we Lwowie.

[2]) List do Platona Kosteckiego, z dnia 24 grudnia 1889 r., pisany z powodu życzeń, złożonych przez Kosteckiego w dzień św. Teofila, a przybranych w formę rymowaną. Życzenia te podpisali członkowie „Gwiazdy", którą Lenartowicz zawsze się żywo zajmował.

„Posyłam Ci odpowiedź z prośbą, abyś w Rusińskim dyalekcie, ślicznym, śpiewnym o Polsce a Rusi zanucił. Kochany lud; nie wstydźmyż się jego mowy. Hej, gdybyż ja znał ten dyalekt, albo i litewski.

„Uściskaj dłonie braci ukochanej członków Gwiazdy, każdego ukochaj, jak brata odemnie. Żołnierzom starym, jak Koszałkiewiczowi, Ostaszewskiemu i drugim do nóg przypadnij, Brata Franka Iwasia uściskaj. Widmana. I każdemu z osobna podziękuj za wielką radość, jakąście mi wyrządzili. Bóg zapłać, Bóg wielki zapłać. Za naszego Mieczysława [1]) odprawcie nabożeństwo; pominajcie dobrą polską duszę.

„Tego roku taki (!) może ja tam i do Was zajrzę, ale o tem lepiej nie gadać; co ja za taki, żeby o mnie drukowali. Ja nie profesor, nie literat, ja ot sobie Syrotyna, kochająca Was całem sercem.

„Jeśli Ci się podoba, możesz zamieścić w Gazecie moją odpowiedź.

„A teraz raz jeszcze mnohaja lita!

„Wasz do zgonu i po zgonie *Teofil.*

„P. S. Zimno! ręce mi ot pomarzły, a na sercu cieplej, patrząc na Wasze pisanie."

Do listu dołączony wiersz, jeszcze wyraźniej określa stanowisko poety wobec sprawy ruskiej. Tam już poeta mówi całkiem niedwuznacznie o tem, że mimo, iż ma wielką miłość dla ludu jednej i drugiej narodowości, mimo, iż pieśń polska i ruska „to bliźniaczków dwoje", — to przecie powinni się współplemieńcy nasi „trzymać prostej drogi i nie zachodzić naszą".

Utwór Lenartowicza, ciekawy ze względu na jego przekonania polityczne, — literacko nie przedstawia wielkiej wartości. Upstrzony naleciałościami gwary potocznej, pełen dygresyj nieodpowiednich do całego tonu, niewybredny w rymach i rytmice, jest raczej rymowaną odpowiedzią, przeznaczoną dla przyjaciela, niż płodem poetyckiego natchnienia. A mimo to zależało poecie na ogłoszeniu tego drukiem [2]). Widocznie chodziło mu o tendencyę, o ujawnienie sądu swego o sprawie, która stawała się wówczas nietylko aktualną, ale piekącą nawet.

[1]) Darowskiego.

[2]) Por. „Gazeta Narodowa" z dnia 29 grudnia 1889 r. Nr. 300. Utwór zapomniany i nie notowany w bibliografii, zestawionej przez Biegeleisena (l. c.).

Wiersz Lenartowicza brzmi w całości następująco:

BRATU PLATONOWI KOSTECKIEMU

ODPOWIEDŹ.

Smutne wieści wiatr ponasza [1]), a gdy nędze głodzą,
Po lirence stare palce jakoś mi nie chodzą.
Zmarnowana ludzka praca, wieśniacza chudoba,
Bydło ciągną na zarżnięcie od pustego żłoba;
Dzieci marzną po chałupach, głód za wnętrze ściska,
Cieszą się tam kruki, wrony, biadają ludziska.
Sieroteńka w palce chucha, liczko wyschłe z głodu,
Pożalże się Panie Boże takiego narodu.
Więc gdy serce rozboleje ręka nie poradna,
Wedle tego, co się dzieje, posenka nie składna.

I dziś chyba nie poradzę, aż się niebo przetrze,
Aż się ruszy święta ziemia, przejdzie złe powietrze.
— Hejno dziadu! w górę czoło, ot ci kółko bratnie!
— Gody, gody, moje gody, bogdaj nie ostatnie...
Jakże się tu nie pocieszać, nie uścisnąć dłoni...
Narodowe słówko brata aż w sercu gdzieś dzwoni,
Po duszy się rozpościera, radości użycza,
Witajcież mi ode Lwowa bracia od Halicza.

Czołem, czołem przed Rycerze do nóg wam się kłonię,
Przygrywali wam śpiewacy na ojczystej stronie;
Przygrywał wam Maurycy, Bohdan i Wincenty,
Dziś posiłek biednej duszy i ten wam odjęty.
Poszli, poszli pożegnani i ja tam się garnę,
Lecz z nadzieją nieśmiertelną pod te czasy czarne.
Czołem, czołem! Za wspomnienie na duszę Mazura,
Przepiorzycą w ruskie pola dałbym ja tam nura.
Gdyby chociaż przede śmiercią na godzinkę małą
Zasępione, zadymione słoneczko przejrzało.
A no przejrzy, wątpliwości wszelkiej nie podpada.
— Będzie? pytam serca mego — będzie odpowiada. [2])
Podsycane wieczną wodą źródło nie wysycha,
Spojrzę dołem, bracia stoją [3]), górą dziad Weryha.
Spojrzę w lewo, spojrzę w prawo — tam coś szepcą groby.
Holuj! holuj! po Wisełce do szczęśliwej doby...
Młodzież-że ta nie młodzieżą? hej światby się skończył,
Młody z młodym żeby w sprawie ręki nie połączył.

---

[1]) [przynosi, poprawione na: przynasza].
[2]) [A skąd-że ci to odpowiada — a to od tej gwiazdki].
[3]) [młodzi].

A tu ludek nasz serdeczny, co go nie wyżenią,
A na wiosnę się odradza, co padnie jesienią.
Będzie Polska, mój Platonie. Sława! Polsce, Rusi.
Kto nie wierzy, niech nie wierzy, a no tak być musi.
Jeno ty śpiewaku bracie po drodze ku onej,
Nie zostawiaj sieroteńką liry niewzgardzonej.
Tej Rusińskiej, rzewnej, czułej, po bracie Szewczence
Pozostała się detyna, weź-że ją na ręce.
A wypiastuj, a wysłuchaj, żeby była gładka,
Ażeby się weseliła nasza stara matka.
Oducz-że ją od zawiści, od złego narowu,
Czyż to nie więsz, jak lgnie serce ku dobremu słowu?
Niechże twoja Ruska lira będzie piękna, zgodną
A miłością niech przygrzewa, bo na świecie chłodno.
A nadzieją niech zagrywa, ot tak jakoś szczerze,
Że i nie wierz, czy na uśmiech, czy na łzę się zbierze.
A niech będzie i rycerska i poważnie kmiecą,
Niech z niej zbroje Lwow Danitów po staremu świecą.
Niech to wielkie rozerwanie lira zgodzi Ruska.
Jak słoneczko, co na Dnieprze srebrne fale muska.

Lackie słowo nie poradzi, trzeba znać te strony;
Coś w nich duma jak ojcowie, a huczy jak dzwony.
Rozbija się po majdanach, a brzęczy jak zdroje:
Nasza lira, Ruska lira, to bliźniaczków dwoje.
Coś w niej skrzypi jak żórawie, jak mazie, powózki,
Masz ty serce kochające dobre ludu Ruski.
Trzymaj-że się prostej drogi, a nie zachodź naszą,
A słoneczka, co nam świeci, wrogi nie zagaszą.
Nasza przyszłość dzieciąteczko w niecce się koleba,
A[1]) strasznie to to niespokojne — pieśni mu potrzeba,
A baczenia, po cichońku na paluszkach chodzić,
Żeby temu pacholątku we snach nie przeszkodzić.
Niech rozmawia z aniołami, przegląda się w niebie,
Z boku na bok obracając niechaj się kolebie.
Niech mu świeci Cerkiew święta, chata, pług i kosa,
Dusza czysta, serce czyste, jak poranna rosa.

Rusi nasza, święta Rusi, niech ci Platon śpiewa,
To i ja też coś poniosę pod lipowe drzewa.
To i mnie też Mazowiecka lira coś podpowie,
Gdy poświecą w wiatr pałasze jak księżyczne nowie.
To i ja z lirenką stara mój rok siedmdziesiąty
Skończę szczęsny między wami w swe wróciwszy kąty.

---

[1]) wykreślone nieczytelne słowo

A swobodą ucieszony wszelkiej próżen troski
Zamówię se domowinę w ziemi Łyczakowskiej.
Nie mam ci ja na to prawa, a przecie się wproszę,
Przez tę miłość pani Matki, którą w sercu noszę.

Florencya 24. 12. 89.[1])

V.

Wypadki szły tymczasem swoją koleją — a los nieubłagany przesuwał wskazówki na zegarze życia poety. Cierpienia się wzmagały, zaczął ponadto chorować na oczy — podporą jedyną było czasem jakieś dobre słowo przyjaźni, którego dźwięk przypomniał ojczyste strony. Każde było mu drogie i na każde dawał odpowiedź, otwierając całą swą duszę czystą w prostych a szczerych zdaniach.

„Najczcigodniejszy Bracie Platonie.[2])

„Jakże Wam podziękować za nowy dowód Waszej dobroci, który w tej chwili odbieram. Ha — Bóg zapłać i dziad więcej nie powie. Rok sześćdziesiąty dziewiąty życia zaczynam tedy pod dobrą wróżbą, że Jeszcze Polska nie zginęła. pokąd życzliwe serca współziomków łączą się i z pamięci wzajemnej nie wypuszczają, — pokąd Polak Polaka bratem uznaje i choćby najmniej godnego jak ja [na przykład] podpiera, utwierdza w wierze i ciężar wieku i bolów dźwigać dopomaga. Jeszcze nie zginęła, dopokąd chata Wasza gościnna stoi otworem dla każdego, kto do takowej w Imię Boga i Ojczyzny zakołace Chmurno na świecie i durno. ale gdy o Was pomyślę dusza się raduje. horyzont rozwidnia, a serce jak żóraw z nad Nilu steruje nad brzegi Zbrucza i Wisły.

„Wiem ja, komu winien jestem tę Waszą serdeczność: naprzód uczuciu rodzinnemu. a potem [temu] ś. p. Mieczysławowi. Najukochańszemu przyjacielowi, który na godzinę przed śmiercią jeszcze mi zapowiedział: że mi z nieba dopomagać będzie. Wielu [mieliśmy] znałem zacnych, wielkich i uczonych ludzi, ale tak doskonałego Polaka, jak Mieczysław Darowski. szukam w pamięci

---

[1]) Manuskrypt, jak wnosić można z równego pisma i braku poprawek, jest już odpisem, przygotowanym do druku. Format papieru 21×13·5 cm.

[2]) Florencya 2. I. 1891.

mojej i w liczbie przyjaciół nie znajduję. Jego to święta pamięć natchnęła Was, Drogi Platonie, do przysłania mi życzeń w dniu imienin.

„Nieboszczyk zachęcał mnie do pracy, do pieśni narodowej, więc posłuszny pracowałem i sporo się zebrało tych ojczystych pieśni, które alboż da Bóg, że kiedyś wyjdą na świat, kiedy choć cokolwiek przyjaźniejsza nadejdzie pora; dziś bowiem w szumie wichrów wszystko przepada. Zwątpienie ogarnęło większość. a łzy sieroce [nie wschodząc owszem] uragający się z powodów, dla których płynęły, chemicznie tylko rozbierają. zastanawiając się nad pierwiastkami i nad formą, pod jaką wydobywają się i spadają po twarzy. W czasie bluźnierstw przeciwko wszystkiemu, co święte, wynikających z niemocy, z niecierpliwości. ze złorzeczenia losom, z braku wiary (bo nienawiści Ojczyzny nieprzypuszczam w żadnem sercu polskiem, — pomieścić mi się to w głowie nie może) drukować narodowi pieśni, jest-że na czasie? I to przejdzie, i niebo się wypogodzi, a wtedy jak ptaki po burzy znajdziemy się znowu, a jeśli starych grady obiją pod świętą ziemię, to nowe pokolenie swieższą, piękniejszą zanuci, a i nasze przechowane nie zginą, to bowiem, co powstało z prawdziwego uczucia, ma jakąś moc, czy też strzeżone jest przez wyższe opiekuńcze siły i po wiekach, leżące gdzieś pod strychami, odnajdywane bywa, to zaś, co niema wartości, lepiej, że zginie.

„Z literatury klasycznej ja myślę, że wszystko nas doszło, co było najpiękniejszego, i że zniszczenie Biblioteki Aleksandryjskiej nie wielką nam szkodę przyniosło...

„Zapadam ciężko na oczy, ale to już tak bywa wszystkim Lirnikom pod koniec życia. że ślepną. Ha — wola Boża. Nie leczę się, bo nie wierzę w doktory.

„Ciężko mi z tem bardzo, bo czytać wiele nie mogę, ani pracować jak dotąd, a i wieczory długie w zupełnej samotności wloką się i wloką. Hej! panowie filozofy, widzieliście kiedy złośliwego albo smutnego ślepca — nieprawda, spokojni oni są, jakby już przeszli przez ciemną bramę grobów.

„Jeżeli drogi bracie jesteś w stosunkach z Karolem Brzozowskim, pozdrów go serdecznie i uściskaj. toż samo Kornela, o którego smutku słysząc[1]). głęboko zabolałem.

---

[1]) Ujejski popadał w melancholię, która trapiła go przez kilka ostatnich lat życia.

„Przyjmij uścisk przyjacielskiej dłoni i racz być przekonany o moim prawdziwym szacunku i wdzięczności, z jaką zostaję

Twój stary

Mazur *Teofil.*

„P. S. Życzę Ci przy Nowym Roku tego, co sobie i więcej, bo mnie już mniej potrzeba. Życzę wszystkim — można wątpić o tem?“

Stanisław Lam.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Fragmenty historyczne.

IV.

Stefan Czarniecki wojewodą ruskim.

Stefan Czarniecki był wojewodą ruskim od początku 1657 do 1664 r., w którym to, na rok przed śmiercią, objął województwo Kijowskie. Mimo, że półosma roku piastował najwyższą godność w województwie, imię jego, tak już pod owe czasy sławne, nie często spotkać można w spółczesnych aktach ziem i urzędów tego obszernego województwa. Pamiętnym był wjazd jego na województwo, pamiętną śmierć w miasteczku Sokołowie, gdy ciężko ranny pod Stawiszczem jechał przez tę miejscowość dla leków do Lwowa, jednakże o działalności jego w województwie niewiele świadectw w tych latach burzy wojennej spotkać można w aktach. I nie dziwna, działalność Stefana Czarnieckiego była głównie wojenną, odbywała się na ziemiach, po za obrębem województwa leżących; we Lwowie, stolicy województwa, bywał on gościem. Z wzmianek, jakie zdarzyło się spotkać w aktach, uzyskujemy drobne przyczynki do dziejów znakomitego męża, które tutaj podajemy.

Jakkolwiek Małopolanin i przywiązany do rodzimej Czarńcy, w sandomierskiej ziemi położonej, jak wszyscy ludzie wojenni, był i Stefan Czarniecki obdarzany na kresach, a temsamem skłoniony do czasowego przebywania w dalekich od rodzinnej ziemi stronach. Pierwszem większem nadaniem królewskiem z 2 czerwca 1634 r. uzyskał porucznik podówczas chorągwi Marcina Kazanowskiego,

hetmana polnego koronnego, 200 włok w Popowej górze, w województwie Smoleńskiem. Ponieważ nadanie to wniósł obdarowany do aktów grodzkich lwowskich, przypuszczamy, że i w województwie Ruskiem już wówczas miał jakąś małą donacyę od króla. Większą tutaj darowiznę otrzymał dopiero nadaniem z 23 lipca 1656 r., w Niepołomicach datowanem, a to za sprawność w wojnach pruskiej, moskiewskiej, tatarskiej, począwszy od Chocimskiej wyprawy, za Ochmatów i inne rycerskie dzieła. Było to prawo dożywocia, jemu i żonie, Zofii z Kobierzyckich, nadane przez króla na wsie Krzeczkowa Wola, Olszany i Chotowice, w Przemyskiej ziemi leżące królewszczyzny, po śmierci Jakóba Maxymiliana Fredry wakujące. Do donacyi przyłączył król warunek pensyi rocznej 1500 zł. p. weteranowi Boratyńskiemu. Obdarowany był wówczas wicerotmistrzem chorągwi starosty krakowskiego. Na sześć lat przedtem, nadaniem z 27 kwietnia 1650 r., otrzymał w dożywocie, już jako cześnik chełmski, wsławiony w wojnach, wioski Krechów, Kunin, Skwarzawę i Wolkę, po Franciszku Stadnickim na króla spadłe. Ponieważ jednak Stadnicki, któremu z pewnych racyi dobra te odebrano, nie chciał z nich ustąpić, przeto wynikł pomiędzy nim a nowo obdarzonym proces, i nie wiemy nawet, czy i kiedy objął Czarniecki te dobra. Natomiast w 1652 r., na skutek królewskiego nadania, datowanego z Warszawy 26 marca, objął podówczas chorąży sandomierski wsie Wownia, Wolica i Uherskie, w starostwie samborskiem leżące, a spadłe do dyspozycyi królewskiej po śmierci Maryanny z Potoka Kazanowskiej, wdowy po oboźnym koronnym, Adamie Kazanowskim. Nadanie było dożyciem także i na imię żony chorążego Zofii z Kobierzyckich opiewającem. We wszystkich tych nadaniach podnosił król wierność, prawość charakteru i pogardę życia, z jakiemi to zaletami Czarniecki odprawiał służbę wojenną w nieustannych wojnach.

Nadania te były powodem pobytu Czarnieckiego Stefana, tudzież jego rodziny, w rozmaitych czasach we Lwowie i w ogóle w tutejszem województwie.[1]) I tak, w lutym i marcu 1639 r. wi-

---

[1]) Później, w 1662 r., nabył sposobem zastawnym w sumie 30.000 zł. p. Złotkowice i Moczarady, w Przemyskiem, od Jerzego z Tenczyna Ossolińskiego, któremu równoczesnym zapisem we Lwowie z 16 października cedował starostwo piotrkowskie. Dnia 3 stycznia 1663 r. we Lwowie ustąpił Stefan Czarniecki zapis, przez Jerzego Ossolińskiego uczyniony, na rzecz Piotra Niegoszewskiego, podpułkownika ciężkiej konnicy. Intromisya w dobra wspomniane odbyła się 21 lutego 1663 r.

dziny we Lwowie braci jego, Jana i Marcina, którzy w grodzie lwowskim zeznają rezygnacyę dóbr rodzinnych Czarńcy i Kątów. w chęcińskim powiecie Sandomierskiego województwa położonych. na rzecz brata Stefana. Dobra Wownię, Horskie i Wolicę ustąpił w 1658 r. Stefan na rzecz bratanka swego, Stefana Stanisława. skarbnika czerniechowskiego, a zarząd tych dóbr miał w ręku synowiec Stefana, Jerzy Godlewski, miecznik nowogrodzki. ożeniony z Krystyną Czarniecką, bratanką Stefana. Także i brat Stefana, Aleksander, ożeniony z Katarzyną Bolestraszycką, przemieszkiwał aż do zgonu, t. j. do 1662 r., w Przemyskiem. Wspomniani bracia i krewni Stefana byli to ludzie rycerscy [1]), jak w ogóle wszyscy bracia Czarnieccy, z których jeden Paweł pod Smoleńskiem, inny Piotr pod Częstochową, Marcin pod Zborowem. zajaśniali męstwem, lub głowy swe za Ojczyznę na polu chwały położyli.

Jak wszyscy dzielni wojskowi. był Stefan Czarniecki gospodarczym mężem, dbałym o wzrost fortuny, arendował nawet czopowe we własnem województwie, aby podnieść tak swoje, jak i skarbu dochody. Umiał też użyć stosownego męża na zarządcę swego majątku. Jak wiadomo, był nim Stanisław Józefowicz, ławnik i obywatel lwowski. którego podówczas już wojewoda uczynił swoim serwitorem, przypuścił go do swobód i przywilejów swoich i pozwolił mu zaszczycać się swoim herbem na kamienicy tegoż lwowskiej. Fortuny wielkiej nie zostawił, prócz tej, którą mu ofiarowała Rzpta na sejmach w nagrodę usług wojennych, ale na zaciągi żołnierza miał zawsze gotówkę potrzebną, a nadto, jako wierny syn Kościoła, zbudował kościół w Czarńcy.

W dobrach swych był obrońcą ludu od ucisku, i gdy w Krzeczkowej woli i Olszanach poborca niesłuszne kwitowe ponad prawo wyciskał od włościan, Czarniecki polecił oskarżyć poborcę. Wiadomo, że on pierwszy uniwersałami przemawiał jako wódz nietylko do ziemian. ale i do „ludu pospolitego“ tak z dóbr królewskich, jakoteż duchownych i szlacheckich, i gorącemi słowy zachęcał go do bicia wroga najeźdźcy, do urządzania zasadzek na tych, którzy najechali Polskę, zapijali się z kielichów mszalnych, a z dalmatyk stroje sobie czynili... To też u ludu — mówi biograf Czarnieckiego — imię Czarnieckiego było świętem. [2])

---

[1]) Aleksandra, brata swego, i Jerzego Godlewskiego, synowca. używał Czarniecki do zaciągów wojsk, jak tego dowodem listy przypowiednie z daty 29 stycznia 1656 r.. w Łańcucie datowane.

[2]) Jenike: Stefan Czarniecki, 54.

Znanem też było, że jako wojewoda dbał o wymiar sprawiedliwości dla Żydów, których przywileje szanował i szanować polecał władzom wojewódzkim. Na rok przed nominacyą swą na wojewodę lwowscy Żydzi nie chcieli wypłacić znacznej sumy, bo 35.000 zł. p. zaległego pogłównego i postarali się nawet o mandaty z kancelaryi królewskiej, unieważniające dawniejszy nakaz zapłaty. Kasztelan kijowski atoli dostrzegł działalność, na szkodę skarbu a temsamem i wojska wymierzoną, i oskarżył Żydów przed królem.[1]) Jako wojewoda w pierwszych miesiącach działalności zwrócił się do Żydów i nakazał wydawać tak zaległe, jako i należące się świeżo pogłówne bez zwłoki pod ostrością egzekucyi, najbardziej surowo zwracając się do Żydów przemyskich, jako niepoczuwających się do swojej powinności. Równocześnie jednak zwraca się wojewoda do swego podwojewodziego, Piotra Kossakowskiego, nakazując mu, by w sądzeniu Żydów przy ich dawnych przywilejach zachowywał, i by także co do należytości, opłacanych w sądzie, byli zachowani przy starych kwitach, bez jakichkolwiek nowości. O obronie, jaką otaczał wojewoda Żydów województwa swego od wszelkich jurysdykcyj, świadczy uniwersał jego, wydany pod Zadworzem 14 lipca 1657 r. Zabrania niem dowódcom prezydyum lwowskiego wdawać się w jurysdykcyę wojewodzińską i uciskać Żydów. Mimo przeciwnych uniwersałów królewskich poleca wojewoda władzom prezydyalnym wstrzymać się z wykonaniem jurysdykcyi i wolnymi uczynić Żydów od kwater, stanowisk i t p. Równocześnie nadał też władzę kapitanowi dragonii, Godlewskiemu, bronić Żydów od wszelkich ciężarów. Jerzy Godlewski, miecznik nowogrodzki, kapitan i towarzysz roty usarskiej J. Kr. Mości, jak to już wyżej naznaczono, był synowcem wojewody. Stało się to w 1660 r., że ów synowiec wojewody, z powodu jakichś pretensyj do Żydów przemyskich, począł ich przy pomocy żołnierzy zmuszać do wypłacania sobie sum pretendowanych. Żydzi udali się ze skargą do wojewody, podówczas w Warszawie będącego, i otrzymali odeń surowy mandat pod adresem synowca, który to mandat starszy szkoły żydowskiej przemyskiej, Izaak Lewkowicz, nie zaniedbał przedłożyć w grodzie przemyskim, celem wciągnięcia go do aktów. Mandat ów, dowodzący wysokiego poczucia sprawiedliwości bezwzględnej wojewody, brzmiał, jak następnie.[2])

---

[1]) Cytacya z dnia 17 lutego 1656 r. w aktach grodzkich lwowskich.

[2]) Castr. Prem., Rel. 390. p 1474.

„Mości panie mieczniku nowogrodzki! mój m. p. synowcze! Zboru przemyskiego Żydzi żałosną tu przedemną przyjechawszy zanieśli na WMć pana skargę, jako ich WMć p. nieznośnie et illegitime uciążasz i agrawujesz, dekretowi insistendo komisarskiemu dziesiątka od nich pretentując tysięcy. Co jako iniquum foret tak by to i mnie musiało afficere, gdyby ludzie do mojej należący jurisdikcyej tak nieznośna mieli ponosić agrawacya i uciążenie, a zwłaszcza kiedy tę sprawę WMć wygrał. List mój ex discretione przeciwko WMci do panów komisarzów napisany, nie żeby miał za sobą tym podobną pociągnąć agrawacya, nigdy to w mojej nie było intencyej. Zaczem żądam tego po WMci, abyś nie chciał eum iuris extendere nad Żydami rigorem i do mojej zatrzymał się w tej sprawie decyzyi, nie pociagając Żydów ani za dworem ani do żadnego innego forum, daleko więcej gwałtownym ekzekucyom przez sług Rzptej żołnierzów regimentu mojego, nie ważąc się ich przyciskać, przymuszać do wypłacenia sobie sumy tej wzwyż specifikowanej, bo gdybyś WMć inaczej miał postąpić sobie, pewniebyś popadł poenas legum decerni solitas na takich, którzy violenter mniej słusznych swoich dochodzą pretensyi. Co ja serio zalecając WMć m. m. p. i nie inaczej mieć chcąc, jegoż się z służbami moimi oddaję życzliwości. Datum w Warszawie die quinta Junii Anno 1660 WMci m. p. p. całe życzliwy stryj Stefan Czarniecki, wojewoda ruski.“

Jak ściśle przestrzegał wojewoda swej jurysdykcyi, świadczy i ten wypadek z 1664 r., że gdy instygator sądów wojewódzkich, Jerzy Malewski, z powodu niewypłacenia przez Żydów lwowskich podatków, polecił otworzyć skrzynię skarbową żydowską, pociągnął go wojewoda do odpowiedzialności za obrazę (jurium palatinalium) praw wojewody.

Bronił też wojewoda kupców Żydów od nadużyć ze strony mieszczan, w szczególności mieszczan lwowskich, czego dowodem następujący uniwersał, datowany w Warszawie 18 maja 1661 r.: Do urzędów miast województwa mego, a najwięcej urzędowi miasta J. Kr. Mości Lwowa, moje przesławszy pozdrowienie, do wiadomości donoszę. Iż jako sama po mnie tego requirit powinność, aby wszyscy poddani i do mojej należący jurisdikcyej zarównego partycypowali respektu, tak uważając, że inaczej nad samę dzieje się słuszność, kiedy Żydzi przemyscy w wydaniu podatków i prowentów, do skarbu Rzptej należących, z innemi wszystkiemi województwa ruskiego ducta proportione fortunarum suarum równo pociągają miastami, w handlach zaś i kupiach swoich tak w granicy

koronnej jako i wołoskiej za granicą ziemi... nie mogą dla prepedicyej gaudere commertio, jako rem iniustam bacząc mieć chcę, aby po jarmarkach we Lwowie, Jazłowcu, Podhajcach i innych miastach swoje zarówno z innymi Żydami prowadzili sine ullius praepeditione i odprawowali handle. W czem ktoby samej chciał inficiari słuszności i mojej deesse rekwizycyej, za poddanymi moimi ująć by się przyszło i moją w to włożyć się powagą, mianowicie gdy przez to niejaką uważam być szkodę w Rzptej skarbie, kiedy onego augeri nie będą mogły przez myta, cła i inne kontrybucye prowenta.[1])

Mając wysokie poczucie obowiązków, a przytem sprawiedliwym będąc piastunem władzy, przestrzegał karności, posłuszeństwa, broniąc przytem niewinnych żołnierzy, co się przebija w jego stosunkach z wojskowymi. Karność w wojsku polskiem, przerzucanem z jednego kąta Rzptej na drugi, walczącem o głodzie i chłodzie, a jak podówczas niepłatnem całemi kwartałami, pozostawiała wiele do życzenia. Czarniecki surowo przestrzegał karności w swych pułkach i oddziałach, a jak sam mówił, znał na wylot konduitę każdego żołnierza. Skoro jednego z nich, Młodziejowskiego, służbistę i dobrego żołnierza, koledzy niepokoili, wydał mu Stefan Czarniecki, naówczas (5 września 1663) w Husiatynie będący, takie świadectwo: Będąc conscius spraw każdego żołnierza, w dobrej mi to jest pamięci, jako p. Trojanowski, rotmistrz powiatowy, ultra mentem powiatu swego, wtenczas, kiedy była okazya przysługi J. Kr. Mci iść pod Gdańsk, chorągiew zwinął i po Mazowszu w domach szlacheckich pozwalał sobie egzorbitancyi, za co przez trąbę został publikowany za instancyą p. Kaźmierza Młodziejowskiego, i jeśliby ten ostatni miał być inkwietowany, daję mu to testimonium jako dobrze zasłużonemu.

Będąc wrogiem wszelkich spisków, konfederacyi, zwłaszcza w wojsku, i surowo karząc wszelkie zakusy nieprawnego egzekwowania sobie żołdu przez wojskowych, wymuszania stacyi i chlebów, od pierwszej chwili, skoro tylko na skutek woli króla i konsenzu objął dowództwo nad częścią wojsk, starał się karność wśród niego ugruntować. Toż niemałymi cieszył się znakomity partyzant tryumfami w tym 1656 r., albowiem raz tylko pod Kcynią został pobity przez Karola Gustawa, natomiast pobił Szwedów pod Rudnikiem, Kozienicami, Warką, Łowiczem, Chojnicami, Gdańskiem

[1]) Castr. Prem. 391, p. 1425.

Surowy sędzia jego dzieł wojennych opowiada o tym roku[1]), że Czarniecki przebiegał z nadzwyczajną szybkością przestrzeń pomiędzy Częstochową, Chojnicami a Gdańskiem, przeprowadził pomyślnie do Prus królewską parę, a gdy wypadło zabezpieczyć dla niej wyjazd powrotny, Czarniecki w styczniu 1657 r. przebiegł 48 mil w ciągu dwu dni i jednej nocy pomiędzy oddziałami trzech generałów szwedzkich aż do Płocka, przeprawiał się wpław przez Wisłę, przetrzepał Brandenburczyków pod Chorzelami i Działdowem, wrócił do Gdańska i przeprowadził Jana Kazimierza z królową na Kalisz do Częstochowy... Z tego przeglądu dzieł Czarnieckiego widoczna, że nie próżnował, ani też jego wojska, a przecież nie był z tych ostatnich zadowolony, a to z powodu braku karności; wielu rotmistrzów odbiegło chorągwi lub nie opowiedziawszy się odjechało. Oto, jak się skarży surowy dowódzca, żądający kary na przestępnych w uniwersale, datowanym na noclegu wojsk w Prasnyszu 29 stycznia 1657 r., adresowanym do starostów sądowych i do dzierżawców i administratorów dóbr Rzptej.

„Mając z woli J. Kr. Mci daną sobie nad wojskiem Rzptej od hetmana w. kor. komendę, na to moje wszystko obróciłem staranie, abym jako najlepiej i najwcześniej wszelakim nieprzyjacielskim zawziętościom wcześnie zabiegać mógł. Do czego lubo wiele inszych przez ten czas miałem przeszkód, ale i sama niestateczność i nieochota wielu swawolnych żołnierzy siła mi w zawziętych imprezach uczyniła roztargnienia[2]), kiedy jedni z nich od chorągwi swoich nieodpowiednie, dobrze wkroczywszy w ćwierć sromotnie odbieżeli, drudzy samiż rotmistrze albo porucznicy asygnacye na chleb zimowy odebrawszy, miasto posłania dla odebrania chleba deputatów jako i insze chorągwie posłali, kompaniom swoim do rozjeżdżania się dawszy powód, z chorągwiami, jakoby dla zaciągnienia inszej albo supplementowania kompaniej od wojska nieodpowiednie odjechali[3]), a potem za kilka mil odemknąwszy się znowu się skupili, a insi i z chorągwiami prosto bez wszelkich jakichkolwiek pozornych racyi pouciekali, króla JMci usługi Rzptej i wojsko sromotnie odbieżeli. Takowemu złemu postępkowi inszego ukarania na prędce nie upatrując, ex plenitudine potestatis, którą sobie na ten czas od kóla JMci i od JW. IMci p. hetmana wielkiego koronnego mam daną, wszystkich takowych nieużytecznych

---

[1]) Korzon: Dzieje wojen polskich, II., 391.
[2]) Rp. roztargi.
[3]) Rp. odjechał.

Rzptej żołnierzy, którzy to na ten czas, kiedy się okazya sama i pora do wojny pokazała[1]) z wojska odbieżeli, zasług a rotmistrzów ich chorągwi i stanowisk chlebowych odsądzam i one odbieram i tym uniwersałem moim takowe wszystkie chorągwie zwijać rozkazuję, pilnie et per amorem patriae JMciów pp. starostów sądowych upraszając, aby tych JMciów tego rządu dobrego chcieli dopomóc. A jeżeli przedtem z jakichkolwiek racyi contra desertatores castrorum praw i konstytucyi postanowionych do exekucyi nie przywodzili, żeby przynajmniej in hoc calamitoso statu nie chcieli tych respektów zażywać a na takowych wszystkich, którzy bez osobliwego konsenzu mego do domów świeżo od wojska albo jakiegokolwiek zaciągu usługi Rzptej[2]) przyjechali, według czasu prawa pospolitego, osobliwie konstytucyi ostatniego sejmu chcieli animadvertere i ich bez wszelakiego respektu i konniwencyej karać. tych zaś, którzyby pod chorągwiami chodzili albo jakie suplementa luboby też pod znaczkami albo chorągwiami chodzili, ciągnienia lubo też na stanowiskach chleb sobie ukazany z chorągwiami przyszedszy wybierać chcieli. proszę i daję wszelaką moc i władzę JMciom pp. starostom sądowym a nawet i samym JMciom pp. dzierżawcom dóbr tak duchownych jako i świeckich. jako swawolnych i w służbie Rzptej nie będących znosić a jeżeliby sami wydołać nie mogli. tedy choćby i powiaty na takowych ruszać mieli a ich samych. kogoby z nich pojmali, gardłem karali lubo też na egzekucyą do JW. JMci wojewody kijowskiego albo też do mnie odsyłali, wyjąwszy pp. deputatów, którzy z asygnacyami dla wyciągnienia chleba słusznie sobie należącego bez chorągwi do stanowisk sobie ukazanych przyjachali i tych, którzy przy wozach albo też na stanowiska są odesłani a ich chorągwie i teraz w wojsku zostawają, także i sześciu, które JW. JMć p. wojewoda kijowski przy boku swoim zostawił z pewnych konsideracyej t. j. JMci p. wojewody kijowskiego chorągwi dwie usarska i kozacka, JMci p. wojewodzica kijowskiego trzecia, czwarta p. oboźnego wojskowego. piąta p. Cebulskiego. szósta p. Druszkiewicza, ci pod te egzekucyą nie podpadają..." [3])

Przytoczyliśmy w całości uniwersał na noclegu widocznie przez samego Czarnieckiego pisany lub dyktowany, z niego bowiem bardziej aniżeli z innych lakonicznych zazwyczaj pism jego prze-

[1]) Rp. pokaże.

[2]) Rk. Rzpej odbiega.

[3]) Castr. Prem. 384, p. 189—192.

bija się charakter surowego wodza, który jednak wśród najtrudniejszych stosunków, nawet odbieżany przez niekarnych rotmistrzów tak znaczne uzyskał wojenne sukcesy. Być może, że jak to niektórzy historycy podnoszą był zbyt surowym, lecz surowość ta miała na celu dobro wspólne i dzielność armii sprawność wojenna była dążeniem wodza. Mając sobie powierzone dowództwo — mówi on w jednym z mandatów [1]), — chcę jak najdoskonalej je sposobić.

Że taki wódz surowy, wymagający — a z drugiej strony przerzucany z jednego województwa do drugiego, z jednego końca końca Rzptej na drugą, i z konieczności nieraz uciążliwy szlachcie, ziemianom przez postoje wojsk w ich dobrach, przez wybieranie chlebów i t. p. nie był ulubieńcem ziemian. łatwo pojać i wyrozumieć. Rotmistrzów jego i oficerów i jego samego w czasie gdy był obożnym koronnym nie dopuszczano do stacyi w dobrach duchownych, bito we dzwony, tak, że nieraz przemocą musiały wojska zajmować kwatery. Toż akta wielu grodów i ziem przepełnione są protestacyami, manifestacyami, skargami spisami szkód. wyrządzonych przez rotmistrzów jego i oficerów. Nieraz z woli hetmana naznaczał dobra szlacheckie na ściągnienie dragonii swego regimentu, jak n. p. w 1656 r. Rybotycze Krasickich [2]), „aby za tą asygnacyą chleba według słuszności było wydano", i pewno, że tem zarządzeniem nie pozyskał sobie przyjaciół w zamożnej szlachcie przemyskiej. A jednakże przymiotami duszy zdobywał sobie przyjaciół w obozie ziemian. Kasztelanic lwowski Stanisław Grochowski, wyjeżdżając dla studyów za granicę w 1657 r., powierza opiekę nad dobrami swemi stryjowi Jerzemu Grochowskiemu, dziekanowi przemyskiemu, Marcinowi Krasickiemu, cześnikowi przemyskiemu, i Stefanowi Czarnieckiemu. W Przemyślu żyje przyjaciel Czarnieckiego, ks. Fryderyk Alnpek, kanonik tamecznej kapituły, którego wódz uwiadamia o najważniejszych swoich powodzeniach orężnych. Skoro w nagrodę zasług sejm warszawski w 1659 r. nadał Czarnieckiemu emfiteuzę na Ratno, poczęła i szlachta wysoko cenić imię wojownika, wojewody ruskiego. Widoczne to z ruchu sejmików, na których coraz częściej słychać imię walecznego męża. Już w 1658 r. na sejmiku wiszeńskim poleciła szlachta posłom wyrazić podziękowanie na sejmie wojewodzie ruskiemu za jego

---

[1]) Datowany w Warszawie, d. 23 czerwca 1661 r. Mandatem tym naznaczał w regimencie swym dowódcą majora Bielskiego na czas nieobecności oberstleitnanta von Broden.

[2]) Asygnacya z d. 27 stycznia 1656 r., w Łańcucie datowana.

rycerskie dzieła. W następnym roku porównywano go w Wiśni z bohaterami starożytnego Rzymu. Sejmik halicki z marca 1661 r. chwali syna Marsa, który szczęśliwie na zgubę ojczyzny zawziętego nieprzyjaciela z samych krain nieprzebytego morza do pokoju i snadnego skłonił paktowania. Także i sejmiki wiszeńskie z lat następnych wdzięcznie wspominają imię wojewody i dziękując przez posłów polecają na sejmie za represye wroga. Sejmik bełzki z dnia 15 października 1664 r., jakby osobę wojewody mając na oku, każe podziękować na sejmie hetmanom i Czarnieckiemu, że nas heroicis pectoribus z uszczerbkiem tak znacznem i jawnem całemu światu polskiemu zdrowia i substancyi swoich zasłaniali. Jak wiadomo, wkrótce potem Czarniecki, na skutek rany otrzymanej pod Stawiszczami, umarł...

Krewnych swoich. a dzielnych oficerów, używał chętnie do ważnych posług wojennych. Wiadomo, że Przemyśla bronił od Szwedów Jerzy Godlewski, tutaj przez króla na skutek rady Czarnieckiego przysłany, i dzielnie się wywiązał z zadania swego wraz z dodanym do boku swego inżynierem. Przeprawa przez San szwedzkiemu generałowi Duglasowi nie udała się, a tak samo szturmy na miasto zostały odparte. Już 17 marca mógł Stefan Czarniecki powinszować miastu odpędzenia wroga. ale że w mieście samem były niesnaski i nie chciano słuchać energicznego Godlewskiego, przeto Czarniecki w piśmie do oficerów i mieszczan przemyskich podkreślił, że Godlewski ma sobie od króla nad miastem i nad wszystkimi tam będącymi poruczoną komendę, wzywa tedy, aby temuż wszelka oddana była obedyencya, żadnego inszego nie szukając sobie starszeństwa. Gdyż — dodaje w przestrodze — tak ci, którzyby wzbraniali się być posłuszni, bardzoby karani być i na substancyi musieli, jako i ci, którzy do tego wdzierać się chcieli urzędu, wielką odnieśliby od J. Kr. Mci naganę. Którego to Godlewskiego — dodaje — już żaden, ponieważ swoją pokazał dexteritatem, że nieprzyjaciel z wielką odstąpić musiał konfuzyą i z niemałą szkodą, do tej funkcyi uprzedzać nie może. [1])

Jeszcze w ciągu roku po umocnieniu Przemyśla został Godlewski przez króla odwołany, a komendę powierzono podkomorzemu przemyskiemu, Franciszkowi Dubrawskiemu, a więc przywódcy szlachty, która była niechętną wojakowi, z ramienia Czarnieckiemu danemu. Po odejściu Duglasa z pod Przemyśla wzywał

[1]) List ten, datowany pod Przemyślem d. 17 marca 1656 r., w Aktach gr. Przm. 383, p. 220.

Czarniecki uniwersałem, pisanym w Grochowicach d. 20 marca 1656 r., wszystkich chwałę Boga miłujących, wójtów pospólstwo, aby powstawszy z orężem tego wroga niszczyli, gdzieby się pokazał nie folgowali i zabijali; panowie z poddanymi mają drogi zagradzać i nieprzyjaciela znosić, o którym dodawał, że wielkie szkody poczyniwszy i kościoły złupiwszy, koniec fortun swych odniósł, gdyż siły jego kilkoma z naszymi utarczkami poniżył. Tak skromnie mówił Czarniecki o swoich nad Szwedami tryumfach.

Czarniecki polecił zwerbować regiment piechoty w przemyskiem, na co od króla uzyskał konsenz; nie poszło mu jednak dobrze z tem zadaniem, jak tego dowodzą dwa jego mandaty. Pierwszy, datowany z Lenarcic 4 kwietnia 1656 r., mówi, że ponieważ Przemyśl inkurzyami wroga nadwątlony nie może na wystawienie regimentu mego wystarczyć, a pilna jest potrzeba, aby do usług wojennych stanął, przeto naznacza Krosno z rozkazem, aby z łanu po 19 zł. do rąk obersztleitnanta bez omieszkania wydane były, do czego należeć mają wszystkie krośnieńskie przyległości. Ale już wkrótce trzeba było zmienić mandat na następne zarządzenie, datowane dnia 11 kwietnia w Mszczonowie. 'Ponieważ Krosno — mówi w niem Czarniecki — z woli króla przypadło chorągwi marszałka koronnego (Jerzego Lubomirskiego), naznacza regimentowi swemu starostwo sądeckie i poleca, by podkomendny zniósł się ze starostą tamecznym, i że ciężkiego ludziom tego starostwa uprzykrzenia nie zezwala czynić.

Po wypędzeniu Branderburczyka z Piotrkowa usiłowaniem Czarnieckiego było wypędzić Rakoczego, który odbywszy 28 marca 1657 r. wjazd do Krakowa, szedł ku Zamościowi, potem ku Warszawie razem z Karolem Gustawem, ale tutaj opuszczony przez swego sprzymierzeńca, odciągnął od stolicy w lubelskie. Tuż w ślady ustępującego podążył Czarniecki w pogoń, wisząc nad nim i urywając jego oddziały. Z tego to okresu znane są dwa jego uniwersały do województwa ruskiego. Pierwszym, datowanym z obozu pod Połańcem 5 lipca 1657 r., dawał on znać, że Rakoczy skonfundowany, zostawiwszy Wisłę i inne przeprawy, wraca pospiesznie ad sua, przestrzega tedy wojewoda, aby w ostrożności byli, dobytki ukrywali, kupili się ze wszystkich włości, pilnując przepraw i bijąc wroga, a my z wojewodą krakowskim, Janem Zamojskim, tudzież z marszałkiem koronnym, Jerzym Lubomirskim, i wojskami króla węgierskiego jak najprędzej pośpieszymy za wrogiem, aby ze skarbami, których tu nabrał, nie powrócił do siebie. We dwa dni później, dnia 9 lipca, stał już Czarniecki obozem pod Lubaczowem,

zkąd dawał znać swemu województwu, że nieprzyjaciel samym postrachem zdjęty w znaczną w ludziach przyszedł ruinę przy przeprawie wiślanej i z konfuzyą ku granicom swym posunął się. Wojewoda wzywa do zebrania ile można sił i albo do przybycia pod jego komendę, albo też do pilnowania lewego boku. Niech pobliżsi obywatele lwowscy nie uciekają do lasów — mówi wojewoda, — lecz niech przeprawy zatrudniają, pasy zasiekują i zapewnia, że jest wszelka nadzieja, iż nieprzyjaciel nie wyjdzie cało z Rzptej.

Po upokorzeniu Rakoczego pod Międzybożem odbył Czarniecki wspaniały wjazd na województwo w stolicy województwa we Lwowie d. 7 sierpnia, przyjęty „jako ojciec Ojczyzny“ okrzykami radości i powitany imieniem kapituły lwowskiej przez ks. Wojciecha Piegłowskiego mową. wsławiającą męstwo i czyny jego. Nazajutrz wysławiali go OO. Jezuici. witając go u bramy kościoła z całem kolegium. Łatwo przyszło mowcom wysławiać męstwo wojewody, którego imię było na ustach wszystkich. Sam król w nadaniu województwa, datowanem 3 marca w Częstochowie, wspomina tylko o ważniejszych odwagach i tryumfach wodza, począwszy od Smoleńskiej wyprawy, a wymienia kilkadziesiąt nazwisk miejscowości, w pośród których Ochmatów, Kalisz, Inowrocław, Kraków, Jarosław, Rudnik, Warka, Łowicz, Bydgoszcz, Żnin, Tuchola, Nakło, Trzemeszno, Rawa. Do tych tryumfów przybywają nowe zwycięstwa nad Rakoczym — i zaiste mało który z wodzów mógł się poszczycić tylu zwycięstwami, jak Czarniecki, tylu zdobytymi chorągwiami, tylu trofeami, skarbami i jeńcami z narażeniem życia odbitymi — jak to z powodu tychże odwag sławiono Czarnieckiego.

Z następnych lat zaledwie kilka drobnych szczegółów przybywa do historyi sławnego wodza, jakie zaczerpnąć można z aktów ziemskich i grodzkich jego województwa, w którem z powodu wojen rzadkim bywał gościem.[1]) Jednym z nich jest ordynans, pi-

[1]) Mandaty, nominacye osób różnych, uniwersały na sejmiki elekcyjne i t. p. wojewody datowane były w rozmaitych stronach Polski, że tu przytoczymy n. p. nominacyę na podwojewodziego, datowaną pod Łysobokami 11 kwietnia 1657 r., uniwersał na elekcyę pisarza przemyskiego z Krakowa 1 września tegoż roku, uniwersał na elekcyę podkomorzego sanockiego i mandat do sądu podwojewódzkiego. datowane w Międzyrzeczu. pierwszy d. 21 marca, drugi 18 kwietnia 1660 r., a wyznaczenie elekcyi podsędka przemyskiego nad Dźwiną 20 listopada 1660 r.; mandat do regimentu swego, datowany w Warszawie d. 23 czerwca 1661 r., a nominacya podwojewodziego pod Barem 10 września 1663 r.

sany w Pabianicach 23 stycznia 1660 r. Było to w drodze ze słynnej jego akcyi wojennej w Danii i Holsztynie ku zagrożonej przez Moskwę Litwie. Wojewoda donosił swej nowo zaciężnej kompanii husarskiej, iż z woli króla hetman polny koronny, na nową moskiewską imprezę, do wojska, które ze mną powróciło z Holsztyna, dodał kilka chorągwi i tę husarską, wzywa tedy ją, aby szybko pośpieszyła do Brześcia litewskiego na prawo i na lewo, pilne mając oko...

Na sejmie 1661 r. odbył się wjazd hetmanów, a ponieważ hetman polny litewski, Gosiewski, był w niewoli, więc litewskiemu wielkiemu, Pawłowi Sapieże, towarzyszył przy wjeździe Stefan Czarniecki. Tutaj, w Warszawie, prezentował on 115 chorągwi zdobytych na Moskwie, a sejm nadał mu Białystok i Tykocin. [1]) Tutaj też, na sejmie, wybrano go do komisyi lwowskiej, wysadzonej dla zapłaty wojska, która, nawiasem mówiąc, zasądziła w rok później wojewodę z powodu niezapłacenia 1850 zł. podatku z dóbr tykocińskich. Otóż w aktach tej komisyi lwowskiej, pod roczkiem z 9 września 1662 r., czytamy taką deklaracyę wojewody, który na dniu 4 września złożył był przysięgę jako sędzia komisarski. Dekret komisarski, obejmujący i tą deklaracyę, opiewa, jak następnie:

Sąd główny generalnej komisyi lwowskiej, znosząc i umarzając wszystkie między wojskami J. Kr. Mci i Rzptej diffidencye omnem retardationis [2]) sądu naszego amovendo occasionem, stosuje się do deklaracyi JW. JMci p. Stefana na Czarńcy Czarnieckiego, wojewody ruskiego, komisarza sądu naszego, który iudicialiter sub vinculo iuramenti commissorialis takową dał i uczynił deklaracyą. Iż władzy IMciów pp. hetmanów dawnemi i świeżo przeszłego sejmu obwarowanej konstytucyami w niwczem nie chcąc derogare i onę według praw koronnych in suo robore zostawując, wojska infanteryej od J. Kr. Mci i Ich Mć pp. hetmanów na dzieło wojenne sobie oddanego rezygnuje i żadney dyspozycyej legitimae dispositioni J. Kr. Mci i IMiów pp. hetmanów derogującej uzur-

---

[1]) W maju 1663 r. zapisał Czarniecki Katarzynie z Czarńcy Branickiej, żonie ówczesnego marszałka dworu Jana Adama Branickiego, córce swej, 300.000 zł. na Tykocinie i Białym Stoku, a drugiej córce, Konstancyi Leszczyńskiej, żonie Wacława Leszczyńskiego, 200.000 złp., z uwagą, że w 100.000 zł. p. cedował jej Kowelskie starostwo, jak tego dowodzą cessye, w grodzie lwowskim roborowane.

[2]) W księdze C. L. 847, p. 496 czytamy retardationem.

pować niechce[1]) i nie będzie. Przeto sąd niniejszy znajduje to i finaliter decyduje, że tenże IMć p. wojewoda na miejscu swem komisarskiem bez wszelkiej kontradykcyej zostawać i funkcyę swą, według deklaracyi uczynionej, kończyć ma powagą dekretu.

Z dekretu powyższego wysnuć można ten wniosek, że gdy Czarniecki objął funkcyę komisarską, nastąpiła ze strony któregoś z asesorów komisarzy kontradykcya przeciwko jego osobie, i że ten sprzeciw cofnięto na skutek deklaracyi powyższej, poczem mógł bez kontradykcyi kończyć funkcyę komisarską.

W obec brzmienia wyroku deklaracyi należałoby przypuszczać, że pomiędzy Czarnieckim a którymś z hetmanów koronnych zaszły jakieś niesnaski i że on sam poczuł się do winy wykroczenia przeciwko władzy i przywilejom hetmańskim, czy to przez dążenia do większej władzy wojskowej z uszczerkiem władzy hetmańskiej lub też przez zażalenia, prywatne mowy i uwagi, ubliżające powadze hetmanów. Czy wykroczenie to odbyło się w 1657 r., gdy król mu nadał regimentarstwo, ale buławę polną wręczył Lubomirskiemu i czy w owym to czasie wypowiedział owe głośne zażalenie, zagadnienie to usuwa się z pod niniejszego szkicu. Historyk wojen polskich[2]) nie przypuszcza, żeby się Czarniecki po wyniesieniu Lubomirskiego zdradzić miał z zawiścią w przypisywanym mu docinku do Lubomirskich — jam nie z soli — i do Koniecpolskich — ani z roli — deklaracya jednak powyższa świadczyłaby, że jeżeli nie wówczas w 1657 r., to później nastąpiło jakieś wykroczenie przeciwko władzy hetmana, i to prawdopodobnie Lubomirskiego, gdyż z hetmanem wielkim, słabym już i schorzałym, wiązały Czarnieckiego dobre stosunki. Ale czy deklaracya ma na oku ów przypisywany mu docinek lub inne wykroczenie, ona, tak jasno i bez zastrzeżeń napisana, przynosi Czarnieckiemu większy zaszczyt, aniżeli niejedno jego chociażby największe zwycięstwo. Ten, który tylekroć nieprzyjaciela w zaciętym boju zwyciężał, okazuje tyle mocy ducha, że sam siebie, swe przywary, namiętności, ambicyę przezwyciężać umie i bez zastrzeżeń oświadczając się z obedyencyą dla władzy hetmanów, której nieraz uwłaczał, niejako przyznaje, że buława polna słuszniej się należy Lubomirskiemu, gdyż tenże go stanowczo przewyższał przymiotami wodza, i że świadomy tego cofa derogacye przeciwko władzy hetmańskiej. W każdym razie oświadczenie Czarnieckiego należy uważać za tryumf

[1]) Rp. niechaj.
[2]) Korzon, II., 394.

nad samym sobą odniesiony i to w chwili, kiedy był wojewodą. odbył tryumfy, był syt sławy, który to względ każe nam jeszcze bardziej ocenić wielkość charakteru i gorącą miłość dla Ojczyzny męża, który dla celów wyższych, wspólnych wszystkim ziomkom. umiał własną ambicyę złożyć na ołtarzu Ojczyzny...

Niestety wdzięczności nie doświadczył w tej mierze, jak na to zasługował. Gdy w jesieni 1663 r. z powodu choroby hetmana Potockiego król powierzył Czarnieckiemu pełnienie dowództwa, doświadczył sędziwy wódz niebezpieczeństwa, grożącego życiu jego i to ze strony wojska niepłatnego i buntującego się. Przy wymarszu ze Lwowa, w jego własnej dywizyi, która nie otrzymała należnej zapłaty, wybuchł bunt; do Czarnieckiego strzelano... zaledwie stryczkiem i torturami doprowadzono do uległości zbuntowanych. Nie zaznał wielu chwil szczęśliwych wódz sędziwy w stolicy swego województwa. Do Lwowa też zmierzając w lutym 1665 r., umarł w Sokołówce (już jako wojewoda kijowski), nie zdążywszy do celu, gdzie miał nadzieję znaleźć ulgę w bolach i poradę lekarską na ranę, świeżo w boju otrzymaną. Na drodze jednak do Lwowa otrzymał nominacyę na hetmana polnego. tak bardzo upragnioną.

Antoni Prochaska.

„Siła fatalna“ poezyi Słowackiego.

Przyczynek do sławy pośmiertnej poety.

(Ciąg dalszy.)

VI.

Kazimierz Gliński wielokrotnie dał niezbite dowody, że wszystkich poetów polskich, od Kochanowskiego do Asnyka, najbardziej oczarował go i podbił sobie Słowacki. Bo nietylko jest autorem podniosłego wiersza okolicznościowego, w którym przemawia za przewiezieniem zwłok Juliusza Na Wawel, a o Anhellim napisał jeden ze swych najpoetyczniejszych sonetów; ale jako autor Królewskiej pieśni wskazał bez żadnych zastrzeżeń, iż poematami, które mu przyświecały przy pisaniu tej epopei z naszej zamierzchłej przeszłości, jako wzór idealny, były w pierwszym rzędzie Król Duch i Beniowski, choć i Balladyna i Lilla Weneda także tu nie pozostały bez wpływu. Dla dokładności godzi się nadmienić, iż Królewska pieśń cała pisana jest oktawą.

Że jednak ton i nastrój Słowackiego Podróży na Wschód silnie się wgryzł w duszę Glińskiego, za tem przemawia choćby tylko fragment Ze wspomnień greckich, tak samo pisany sekstyną, jak Grób Agamemnona, a ze Wschodem słońca nad Salaminą także mający wiele wspólnego.

Grek mię prowadził. Pod stopami memi
Spalone skwarem szeleściały zioła;
Krzewy mirtowe przylegały do ziemi;
Wiatr gdzieś w szczelinie skał drzemał; gór czoła
Patrzyły w słońce, co z monarszą pychą
Przez cichy obszar błękitów szło cicho.

W słonecznych blaskach Tajgetu wyżyny
Purpurowemi świeciły barwami;
W skalistych głębiach leżały muśliny
Mgieł nieruchome, a dalej przed nami
Widniało głazów omszonych bezładzie:
W podobne kształty czas ruiny kładzie.[1])

---

[1]) Że nie jeden tylko Gliński, kreśląc swe wrażenia z Grecyi, wpadał w ton Grobu Agamemnona, dowodem Ernest Buława (Władysław Tarnowski), który w swych Nowych poezyach z r. 1872, tak duma na gruzach Akropolu, o zachodzie słońca, gdy „w łun aureolach drżał parnas świetlany“:

A złote fale od stóp Salaminy
Szły rozmodlone do kolumn Eginy,
I o ich stopy konając, bryzgały
Śnieżnemi perły śród oliwnych gajów.

a Calirroe

dziś strumyk tak mały,
Nad Maratonu Pantelikon wzbity,
Czoło z marmuru niósł w niebios błękity.

Dołem sterczały korynckie kolumny
Rytmiczne, z Zeusa olbrzymiej świątyni,
I Lysikrata grób, co sterczy dumny.
. . . .
Porwałem bryłę śnieżnego marmuru,
Co w wiekach złocą słoneczne promienie,
I zawołałem z orłami do chóru.
Choć krzyk mój spłoszył ich... pierzchły w przestrzenie...
„O. bóstwa, w gruzach przez ducha stworzone!
Raz żywe, czyście na zawsze uśpione?!“

I położywszy bryłę na mem łonie
Na wznak runąłem w błękity wpatrzony,
I zdało mi się, że na Partenonie
Niki Aptery płynie jęk stłumiony,
Któremu chórem smętne Homerydy!
Erechtejonu wtórzą Karyatydy!... i t. d., i t. d.

Jak fanatycznym wielbicielem Słowackiego, którego nazywa „najfantastyczniejszym z śpiewaków“, był Wład. Tarnowski, o tem po dziś dzień zachowała się tradycya w jego rodzinie...

Na piaszczystego wszedłem wierzch pagórka,
Prastarej Grecyi owionięty duchem
U nóg mych żółta pierzchnęła jaszczurka
I gdzieś się skryła w piasku morzu suchem.
Cisza... W dolinie szeptał tylko wązki
Enortas, laurów trącając gałązki.

W połyskliwego zdroju idąc ślady,
Szelestem swoich stóp drażniłem ciszę;
Lecz echa spały na górach Hellady;
W powietrzu żaden ptak się nie kołysze;
Patrzyła w przestrzeń źrenica otwarta...
Wtem Grek się wstrzymał i powiedział: „Sparta!“

Stanąłem. Chciwie wytężyłem ucho;
Na ono słowo wszak się echa zerwą:
W wąwozach skał tych odezwą się głucho
Leonidasa imieniem i przerwą
Tę martwą ciszę... Okrzyk się rozszerzy,
Poleci wichrem i gromem uderzy.

Słucham... Milczenie! Nawet wązka struga
Szemrzeć przestała i zwolniała w biegu;
Leniwem światłem cicha fala mruga.

Wiersz ten przynosi prawdziwy zaszczyt Glińskiemu, bo gdyby kto nie wiedział z całą pewnością, kto jest tych „wspomnień greckich“ autorem, mógłby przypuścić nie bez pewnej racyi, iż jest to wyjątek z Podróży na Wschód Słowackiego.[1])

[1]) Nawet w swych niektórych narracyach poetyckich, jak n. p. w Kropli krwi, rozgrywającej się na tle Włoch, popada Gliński raz po raz w ton Podróży na Wschód Słowackiego. Dowodem choćby następujące sekstyny, z opisem Wenecyi:

Uciekłem z Rzymu. W falach wód Wenecyi
Chciałem utopić przeszłości wspomnienia.
Wiesz, jakie słońce tam promienne świeci,
Jaką jest siła świateł, czarność cienia.
I z „Mostu Westchnień“ musiałeś w przestrzenie
Błękitów rzucić niejedno westchnienie

Nad ciemnej fali milczącą głębiną
Koło świątyni zamieszkałem Marka,
Codzień widziałem, jak gondole płyną,
Codzień nam róże nosiła kwieciarka;
Pieściły ucho fal tajemne szmery,
Chłodnym oddechem wiały win szpalery.
. . . .

Istnieje prócz tego jeszcze jeden wiersz Glińskiego z r. 1906, tak samo nastrojony na ton Podróży na Wschód, tylko iż dramatyczniejszy o wiele, bo uderzający w patryotyczną strunę Grobu Agamemnona. Poeta opowiada w nim, że któregoś wieczoru, zaczytanemu w poezyach Słowackiego, ukazał się Juliusz we własnej osobie, kazał mu iść za sobą i zaprowadził go do jakiegoś zbryzganego krwią grobowca. Okazało się, iż „był to dawny grób Agamemnona".

I zatarzałem się, jak robak w prochu,
I zajęczałem, jak widmo upiorne.
I kiedym wyszedł z podziemnego lochu
Na niebie gwiazdy świeciły potworne,
Gwiazdy te same, co wówczas świeciły,
Gdy od Atrydów uciekał mogiły.

Na koń! w lot! dalej!... Skokami olbrzyma
Rzucał się rumak, znaleziony w mroku.
A On mię pytał, drżąc: „Gdzie się zatrzyma?"
I błyskawicę miał i piorun w oku,
I jakieś słońce ogromne nadziei..
Dalej!... I rumak padł... na Cheronei!...

„Tu?... tu?... tu znowu?... Wieczyścież, wieczyście
„Siadać będziecie wśród trumien w żałobie?
„Na skroniach nosić lauru suche liście
„I otworzone mieć wciąż oczy w grobie?...
„Gdzie jest posągu jednolita bryła?
„Gdzie mój kamienny lud? w was jego siła?..."

Uczułem wtedy już nie wstydu trwogę,
Lecz jakieś piętno palące na czole.
O, co ja czułem, powiedzieć nie mogę!
O, com przecierpiał, zamilczeć już wolę:
Ból tylko wielki był w sercu i zamęt,
A przed oczyma ten Jego testament!...

Jak ptak pierzchliwy plusnęła gondola,
W srebrzyste brzegi marszcząc wód głębinę.
Już oddalenia mgła miasto okola,
Kopuły Marka srebrzą się w mgle sine.
A ucho twoje wśród tej wielkiej ciszy
Dźwięk spadającej każdej kropli słyszy.

Wschód się zapalił; glob słońca wspaniały
Wstawał w wszechblasków promiennej koronie.
i t. d., i t. d.

Że ten testament Słowackiego poeta rzeczywiście miał często przed oczyma i w pamięci, na to znalazł się wymowny dowód zaraz w pierwszych trzech strofach wiersza, pisanego W noc 3-go kwietnia, w rocznicę śmierci Słowackiego, wiersza, „doskonale malującego stosunek autora Grobu Agamemnona do narodu.

Żyłeś, cierpiałeś i płakałeś z nami,
Na podłość ludzką patrzyłeś ze wstrętem.
I gdyś odchodził w zaświaty z duchami,
Myśmy zostali z twoim testamentem,
Który twe myśli w czyn rozkazał wcielić,
Oczyścić serca, dusze wyanielić.

I zaklinałeś, by ci, co żyć będą,
Szli przed narodem z kagańcem oświaty,
I nim do stołu biesiadnego siędą,
Dłonie umyli i zmienili szaty,
I oczyszczeni z dawnych grzechów pleśni,
Stroili serca, jak harfy, do pieśni.

Do trzew targałeś nieraz nasze wnętrza
I przez Eumenid przepędzałeś rózgi;
Z twych pieśni wszystkich ta była najświętsza,
Choć się wpijała, jak sęp, w nasze mózgi,
I serca ognia paliła płomieniem,
Była wyrzutem, piekłem i... zbawieniem!

Na wielką Glińskiego zależność od Słowackiego zwrócił już w swoim czasie — w feljetonie „Słowa“ — uwagę prof. Henryk Galle.

„Rzecz prosta — czytamy tam między innemi, — iż „w akordzie tonów, posłyszanych i szczerze odczutych, prym wo„dzić będzie Słowacki, ów poeta, najbliższy duchem „współczesnemu pokoleniu. Posłuchajmy, jak się skarży „Gliński:

Nie dla mnie, Panie, to lazurów morze,
Co we dnie słońcem, nocą lśnią gwiazdami:
Nie dla mnie, Panie, porankowe zorze,
Co ziemię rosy witają kroplami,
I drżą w powietrzu, jak aniołów skrzydła
Pomiędzy ziemią tą a błękitami...
Nad czołem mojem przeleciały burze
I błyskawice pożarem czerwone...
I duchy jakieś, co miały w purpurze
Łzy...

„Bardziej przekonywujących dowodów „siły fatalnej“ Słowac-„kiego i jego wpływu nie szukajmy. Zbytecznem będzie przytacza-„nie takich potwierdzeń niezbitych, namacalnych, jak utwór „Smu-„tno mi Boże! lub jakiś dwuwiersz, wyrwany z pośrodka innych:

Jeśli miał co przebaczyć — przebaczył,
Jeśli o czem zapomnieć — zapomniał.

„Nie potrzeba mówić jeszcze o owej „lilii białej“. która i dla „jednego i dla drugiego poety nieraz była w grzechu miłości. „Rękę mistrza poznać w każdym zwrocie, w każdem „wysłowieniu uczucia. Gliński do epigonów romantyzmu „należy niezaprzeczenie. Dowodzą tego nietylko bezwiedne lub „świadome reminiscencye mistrzów-przewodników. Cały skład du-„chowy poety, sfera myśli, uczuć i pragnień, wierzeń i zwątpień, „zawodów i nadziei, wybór przedmiotów, temperament poetycki, „wznoszą się na kształt muru granicznego pomiędzy Glińskim „a pokoleniem „najmłodszych“ poetów. I przyznać należy, iż tu „właśnie, na gruncie wspólnym z tymi, którzy dawno śpią w gro-„bach. Gliński jest najwznioślejszy, najbardziej trafiający do serca, „najbardziej jest samym sobą. Chciałbym dla przykładu przytoczyć cały wiersz: Smutno mi, Boże!

Smutno mi, Boże!... Dla mnie na błękicie
Obłoków srebrnych zwinąłeś obręcze
I w ozłocone rzuciłeś przestworze
Blaski i tęczę —
Lecz — choć czasami duch tonie w zachwycie,
Że mi tak bardzo smutne dałeś życie,
Smutno mi, Boże!

Smutno mi, Boże, choć wezbraną rzeką
Płynie myśl moja w otchłań lazurową,
Gdzie zapaliłeś gwiazd promienne zorze
Nad moją głową —
Lecz, że młodości dni tak szybko cieką,
Gwiazdy daleko i niebo daleko,
Smutno mi, Boże!...

„Smutno mi, że „piękność róży potrwa chwilę“, że „marze-„nia wszystkie mają dni motyle“, „że muszę zerwać struny mej „lutni, bo nie śni mi się już żaden sen złoty...“

Smutno mi, Boże; choć ta rola czarna,
Jak ogród rajski, różami zakwitnie,
I źdźbła pszeniczne wzrosną na ugorze
I kłosy żytnie —
Plon złoty praca przyniesie ofiarna,
Ale, że obca dłoń te zgarnie ziarna,
Smutno mi, Boże!...

„Smutno mi, że kiedyś „wśród ścian znajomych stać będę „nieznany“, że gromy Boże „ślepe ciosy niosą“, że „gwiazda wschodnia“ „nad grobami ludów wstaje co dnia“, że „w hymnie, co „echem drży nad moją głową, umilkł dźwięk jeden, ścichło jedno „słowo“, „żeś mię wytrącił, Boże, z wielkiej arfy świata...“

Smutno mi, Boże, że tej piersi łkanie
Ognistych gromów poruszyć nie zdoła;
Że wicher żaden chmur rozwiać nie może
Z białego czoła;
Że czasem bywa straszne serc strzaskanie,
Że nie rozumiem sądów Twoich, Panie, —
Smutno mi, Boże!

„Wiersz ten, w którym potęga liryzmu, widocznie hamowana, „potęga, na jaką nigdzie indziej Gliński się nie zdobył, łączy się „z przepięknem, na wzorach Słowackiego haftowanem wysłowie„niem — to żywe, wiarogodne, nieprzeparte świadectwo niezaga„słej tradycyi wieszczów narodu, tradycyi, od której nie odwiodą „nas ani pozytywizm, ani realizm, ani modernizm, bo zkąd co wy„szło, tam i powrócić powinno i musi.“ [1])

VII.

Równie udatnem naśladowaniem Hymnu Słowackiego jest Smutno mi, Boże! Czesława Jankowskiego, niewątpliwie jeden z najrzewniejszych wierszy autora Arabesek.

Smutno mi, Boże! Ponad moją głową
Zaledwie zorza weszła na błękity,
A już błyskawic wstęgą purpurową
Blask jej rozbity.
Że już mię wołasz na burzliwe morze,
Smutno mi, Boże!
. . . .

[1]) Z niwy poetyckiej, I., „Słowo“ z r. 1900.

Idę, lecz wolny od próżnych omamień,
Wiem, że bez wsparcia mam zostać na świecie,
Że ręka bratnia wpierw mi rzuci kamień,
Nim wieniec splecie.
Choć się niedoli przeczuciem nie trwożę,
Smutno mi, Boże!

Włodzimierz Zagórski tak był przejęty uwielbieniem dla Słowackiego, iż całe życie pisał pod pseudonymem Chochlika, co naturalnie stoi w ścisłym przyczynowym związku z Balladyną; a gdy w r. 1881 sporządził zbiorowe wydanie swych Piosnek i żartów, umieścił na ich czele, jako motto, cytat z Beniowskiego: „Jeżeli gryzę co, to sercem gryzę“. Ale choć uwielbiał Słowackiego, o którym nawet napisał parę interesujących rozpraw literackich, choć kochał się w świetnych oktawach Beniowskiego, mimo to we wszystkiem, co wychodziło z pod jego błyskotliwego pióra, był tak dalece sobą iż tylko raz jeden jedyny w Królu Salomonie nie potrafił się oprzeć „sile fatalnej“ Słowackiego, mianowicie w wezwaniu Sulamity, która zakochana w królu, tak mu obiecuje szczęście w miłości z nim:

Pójdziemy razem z gór Libanu,
Pójdziemy razem w gaj mirtowy,
Gdzie strumień szepcze kryształowy,
Pszennego ścieżką pójdziem łanu!

Jest to niewątpliwie reminiscencya z poematu Słowackiego W Szwajcaryi (o którym to poemacie Zagórski napisał ciekawe studyum literackie), gdzie jedna strofa zaczyna się od podobnego wezwania:

Pójdziemy razem na śniegu korony,
Pójdziemy razem nad sosnowe bory,
Pójdziemy razem, *gdzie* trzód jęczą dzwony...

Wprawdzie jest ogromna różnica między idealnym erotyzmem, łączącym szwajcarskich kochanków Słowackiego, a namiętną zmysłowością Salomona i Sulamity w poemacie Zagórskiego, ale i ta różnica nie wyklucza pewnych uderzających podobieństw w sposobie wyrażania się obu poetów, co oczywiście dowodzi niewątpliwej zależności Chochlika od autora Balladyny. Tak n. p. jest strofa W Szwajcaryi, zaczynająca się od wiersza:

Płonęła wonna, jak kadzidło mirry,

który to wiersz znalazł w Królu Salomonie swoje widoczne odbicie w następującej strofie:

Pieszczotą moją upojona.
Płonęła, niby lampa, wonna,
W uścisku ramion mych bezbronna
A bezbronnością niezwalczona.

I była mojej woli panią
I jak za matką idzie dziecię
Tak gotów byłem iść przez życie
Wszędy — gdzie tylko pójdzie — za nią!

Czytając te ostatnie cztery wiersze, mimowoli myśli się o jednym ustępie z poematu Słowackiego, gdzie kochanek mówi o swej kochance, że

Była jeziora błękitnego panią,
Płynęła lecąc, łódź leciała za nią.
. . . .
I mogła była co chce robić ze mną!

Co jest niemniej uderzającem, że są pewne przeciwieństwa w wyrażeniach w Królu Salomonie i W Szwajcaryi, które właśnie dlatego zakrawają na... podobieństwa. Tak n. p. gdy Słowacki powiada na początku jednej strofy:

Lecz nadto było cyprysowej woni
I nadto barwy, co się w różach płoni.

to Zagórski tak zaczyna jedną strofę:

Nie było dosyć nam pieszczoty,
Rozkoszy lubej dość nie było.

Na to jednak, aby się przekonać, jak Słowackiego, a zwłaszcza Beniowskiego „siła fatalna“ oddziaływała na sarkastyczno-polityczną Muzę Chochlika, trzeba przejrzeć roczniki lwowskiego Szczutka...

Włodzimierz Stebelski, zaraz w drugiej strofie swego humorystycznego Don Juana opowiada o sobie:

Siedziałem wówczas właśnie w ósmej klasie
Z czołem wyniosłem i z pełnem obliczem,
A dzisiaj jestem (tu westchnienie zda się)
Tem, co Słowacki ongi nazwał... niczem!

Co się tycze tego Don Juana Stebelskiego, to ma on przedewszystkiem to z Don Juanem Mirona wspólnego, iż jest opatrzony godłem z Beniowskiego:

Krytykom jak psom rzucam kilka kości,
Gryzą, lecz przyjdzie czas, iż te Herody,
Przez których teraz dzieci moje giną,
Będę gdzieś w piekle gryzł jak Ugolino

Pozatem jest ta zabawna „powieść poświęcona młodym tragikom“, opowiadająca dzieje fatalnej miłości galicyjskiego gimnazisty z młodą żydóweczką, dość pospolitą alte Geschichte, a pisana w znacznej części oktawą, jak Beniowski, świadczy między innemi i o tem również, iż ten prowincyonalny Don Juan, w chwili, gdy najczulej romansował z namiętną Rachelą, już miał za sobą lekturę monografii prof. Małeckiego o Słowackim, o czem się dowiadujemy z następującej oktawy:

Miesiąc upłynął. Ona rozmodlona
Dzierży dłoń swoją w mojej męskiej dłoni;
Ona w mą postać cała zapatrzona
I ja też słodko wciąż spoglądam do niej.
Na drżących ustach mrą nam wszystkie słowa,
Jakieś nieznane czucie nas zaklęło...
Kochanko moja! po co nam rozmowa?
Po co nam pana Małeckiego dzieło?

Że Stebelski nietylko znał książkę Małeckiego, ale i Słowackiego poezye wciąż miał przytomne w pamięci, tego dał niejeden dowód nawet w swych dowcipnych humoreskach wierszem, jak n. p. w pełnej humoru Gwieździe Syberyi, w której podczas nocnej włóczęgi po Lwowie podczas zamieci śnieżnej, na widok kawiarni, jednemu z birbantów — niewątpliwie autorowi tej humoreski — przychodzi na myśl Anhelli.

Ujrzał on gwiazdę szlanną, promienną,
I jak Anhelli
Pomknął za gwiazdą z twarzą swą senną...
. . . .

Ale autor wesołych Humoresek lwowskich, któremi sypał, jak z rękawa, miał duszę smutną, tak, iż śmiało mógł zastosować do siebie wiersz Słowackiego: „Chociaż mi serce pęka, śmiech mię zbiera.“ Choć właściwie działo się przeciwnie; bo wprawdzie na pozór, na pierwszy rzut oka, olśniewał swoim humorem, ale w głębi duszy walczył z rozpaczą i zwątpieniem, przed któremi szukał zapomnienia... w alkoholu. Jak dalece miał duszę smutną aż do śmierci, do tego przyznał się dopiero w swojej „noweli lwowskiej“ p. t. Roman Zero. Jest to historya rzeźbiarza, który kocha się nieszczęśliwie, rozpija się, wpada w delirium, aż wreszcie kończy samobójstwem. „Nowelę“ tę, a właściwie poemat, napisał Stebelski na wzór Beniowskiego oktawą, tak samo, jak Słowacki, przeplatając fabułę mnóstwem luźnych dygresyj, które wogóle nadają utworowi temu największą poetycką wartość, a między któremi nie brak i bardzo świetnych, najzupełniej wytrzymujących porównanie z fajerwerkowemi oktawami Beniowskiego.

Wystarcza przytoczyć kilka dla przykładu, a przy tej sposobności wydobyć je z zapomnienia:

Jak ptak bez gniazda wracam do ojczyzny,
A doświadczeniem wzbogacony twardem,
Witam cię, łanie zielony i żyzny,
I z czołem kornem, a tak niegdyś hardem.
Na wszystkich bitew obcych klnę się blizny:
Byłem Kiszotem, ale nie Bajardem,
Prawie lancknechtem, a nie muszkieterem,
I nie milionem, lecz zbłąkanem zerem!

. . . .

I jeszcze dotąd nie jest odkupiona
Ta romantyczna wina duszy lackiej!
Dwa typy rosną u ojczyzny łona:
Magnat Radziwiłł i liryk Słowacki!
Albo hulanka bezbrzeżna, szalona,
Albo nerwowy smutek desperacki:
Pełno fantazyi, szumu, czarnoksięstwa!
Mało rozumu, miłości i męstwa!

. . . .

A czyliż nie wiesz ty, rycerzu smutny,
Na co nam trzeba skarby nagromadzać?
Czyli nie czujesz, marnotrawco butny,
Że kiedy Polska będzie się odradzać,
To trzeba będzie zasik mieć stokrótny,
By znaki gwałtu zrywać i wysadzać
I dać majestat tej ojczyźnie nowy,
Ten, co tak długi przetrwał sen grobowy!

I czyli nie wiesz ty, szlachcicu karli,
Jaki jest Polski geniusz zachowawczy?
Jeśli ojcowie twoi, co umarli,
Deptali prawa zakon święty, zbawczy
I kazirodczo pasy z chłopa darli,
To ty wznieś teraz sztandar pojednawczy;
Pokochaj teraz dziecię ludu gołe,
Za winy ojców zbuduj chłopu szkołę!

. . . .

Nareszcie w znoju szedłem szukać znaków
Boskiej miłości w legendowym Rzymie:
Nie tej, co lubi „lot olbrzymich ptaków",
Ale co żyje w małych hołdów dymie.
Lecz mi rozkazał Bóg wielkich zodyaków
Nosić bez skargi pogardzone imię!
Ach, jestem rodem z dumnej tej mansardy,
Co zniesie wszystko, wszystko prócz pogardy!

. . . .

Nie, nie mam serca plwać i wieńce zdzierać
I głos mój w szyderstw grzmot się nie rozdzwoni
Konając, jeszcze chciałbym perły zbierać
I pisać miłość na ludzkości skroni...
Ach, jak to słodko bez skargi umierać
I żegnać Boga w bolu bez ironii
I w niemej śmierci własną gorycz zdławić,
Zalać się łzami i świat błogosławić!

VIII.

Ci, którzy znali Józefa Kościelskiego, pamiętają dobrze, iż celował w deklamowaniu poezyj Słowackiego, zwłaszcza *Grobu Agamemnona*, wyjątków z *Beniowskiego*, *Pogrzebu kapitana M.*, *Wschodu słońca nad Salaminą* i *Testamentu*. Wiedzą też, jak namiętnym był czcicielem Juliusza (któremu w swym parku w Miłosławiu wzniósł piękny pomnik, uroczyście w r. 1899 odsłonięty), jak bezwzględnie występował przeciwko tym wszystkim, którzy, jego zdaniem, Słowackiego sądzili hyperkrytycznie.

Że ten kult Kościelskiego dla autora *Anhellego* nie był gołosłownym, na to dowodów dostarcza przedewszystkiem jego twórczość poetycka, w której bądź K. za Słowackiego kruszył kopię, bądź naśladował go na swój sposób.

Jaskrawym przykładem, do jakiego stopnia Kościelski przejmował się natchnieniami Juliusza, jest jego Testament rozbitka, aż do złudzenia oddający nastrój i ton Testamentu Słowackiego. Bo i forma i cała — jeśli się tak wyrazić wolno — melodya jest tu wyraźnem odbiciem Juliuszowego utworu. Pomimo różnicy w treści jest to — w niektórych strofach przynajmniej — omal iż nie parafraza tego pożegnania gasnącego przedwcześnie autora Króla Ducha z narodem. Tyle tylko, że wiersz Kościelskiego jest znacznie dłuższy. Oto niektóre z niego strofy:

Życie ziemskie nie przeszło mi, jako sen złoty,
Lecz zostawiło długi, płużny ślad po sobie;
Każdej w życiu radości i każdej tęsknoty [1])
Biorę pamięć ze sobą, by śnić o niej w grobie.

Jedyna to pamiątka, którą ztąd zabieram:
Tęskot sploty pomiędzy grobem a spowiciem;
Śród was żyłem, bolałem, i śród was umieram. [2])
Dzięki za życie! Wyście byli dla mnie życiem.

Wyście nie przewidzieli, pogodna żegluga
Że się burzą zakończy, i burzą tak ciemną,
Że mojej pracy tkanka tak będzie niedługa,
Że się tak nagle otchłań otworzy przedemną.

Tą „ciemną burzą“ była nieszczęśliwa miłość...

Wyście nie przewidzieli, radząc mi w przyjaźni,
Abym wybrał dwie gwiazdy na drogę przewodnie,
Że nie będą mi szczęścia połyskiem, lecz kaźni,
Że niemi nie szlak życia, lecz śmierci zapłodnię.

Stało się! Gwiazdy zbladły, zagnawszy w odmęty,
Które łódź mi skruszyły, jak drzewo bezczynne;
Lecz dlatego niech blask ich nie będzie przeklęty:
Żem im płocho zaufał, cóż są temu winne?

---

[1]) Zachodzi tu jeszcze podobieństwo z pierwszą strofą W Szwajcaryi Słowackiego:

Odkąd zniknęła, jak sen jaki złoty,
Umieram z żalu, omdlewam z tęsknoty.

[2]) U Słowackiego:

Żyłem z wami, cierpiałem i płakałem z wami!

Tą zaś, która zimną obojętnością odpowiedziała na jego miłość, niech będzie błogosławioną! Bo przecież i ona nie jest temu winna, iż go nie mogła pokochać...

Niech jej mój duch nie dręczy majączącym cieniem,
Niechaj wszędzie roztacza czar z pociechą społem:
Kiedy dla mnie jednego była potępieniem,
Niechaj dla reszty ludzi stanie się aniołem.

Niech swe kroki po ziemi śladem niebios znaczy,
W serca zwątpiałe wlewa otuchę tajemną,
A gdy choć jedną duszę odkupi rozpaczy,
Może jej Bóg daruje, co zrobiła ze mną.[1])

Ja odchodzę; lecz tego nie będę się wstydzić,
Że odchodząc miłuję, jak miłując żyłem;
Że nie zaznałem w życiu, co to nienawidzić,
I że mimo zawodów, do końca wierzyłem!

Dlatego po mnie tutaj, w pieśniarzej sukience,
Pozostanie myśl zdrowa i wieczyście żywa:[2])
Bo odchodzę, gdy w pracy zemdlały mi ręce,
Nie jak aktor ze sceny, lecz jak kmieć ze żniwa.

Gdy przed dwunastu laty ukazała się dwutomowa monografia o Słowackim jednego z naszych najznakomitszych krytyków literackich, monografia jednak, w której Słowacki, zwłaszcza w pierwszym tomie został odmalowany zbyt ciemnemi farbami, Kościelski — odnoszący się do Słowackiego z pietyzmem, ale bezkrytycznie, — zawrzał gniewem i oburzeniem (zupełnie w danym wypadku nieusprawiedliwionem) i napisał wysoce krzywdzący dla autora pomienionej monografii Psalm sromu. Naturalnie, że jest to pamflet, a nawet paszkwil, ale ma tę literacką zaletę, iż przedziwnie utrafia w sarkastyczny ton wiersza Słowackiego Do autora Trzech psalmów:

Podług ciebie, mój grabarzu,
Byłem pobielanym grobem,
Rozkochanym w swym mirażu,
Wciąż myślącym nad sposobem,

---

[1]) U Słowackiego W Szwajcaryi:
I mogła była co chce robić ze mną.

[2]) U Słowackiego w Testamencie:
Lecz pozostanie po mnie ta siła fatalna.

Jak ludowi oczy mydlić
Komedyancko, teatralnie,
By nakoniec tryumfalnie
Sławę u swych stóp usidlić.

Nie tak, nie tak, kościotrupie!
Bo mój duch, nie duch anemii,
To nie fanaberye głupie
Rabinatu Akademii,
Nie włażenie na koturny
Ze zwinnością akrobatów,
Nie grzebanie starej urny
Za szczątkami antenatów.
Nie tak, nie tak trupów sługo,
Bo czyn ludu nie paszkwile,
Nie lamenty na mogile,
Co ma, podług was, spać długo.

. . . .

Bo mój duch jest duchem ludu,
Jego snów ostatni wyraz.

. . . .

Bo mój duch to jest wcielenie
Sił, zarazem sił narzędzie,
I najwyższe objawienie,
Czem był naród, i czem będzie.

. . . .

Kto na ojca wzniesie rękę,
Ten przeklęty, więc się bój:
Bo mój duch, to ojciec twój,
Przez mą moc i przez mą mękę.
Jam jest waszych myśli władcą,
A ty jesteś świętokradcą!
Więc się bój! mój duch nie raczy
Grozić tobie, boby zmalał,
Lecz ci naród nie przebaczy,
Żeś świętości mu pokalał.
On jest gotów wołać: biada!
Choć pacierze poczniesz szeptać,
I na ciebie, jak na gada,
Iść, i dalej pójść i zdeptać!

Cóż tak bardzo cię przelękło,
Że przy wspólnym naszym grobie
Tych maluczkich grono klękło,
Co przysięgać zwykli tobie?
Może strachem pierś ci skrzepła,
Że w zapadłej gdzieś chałupie
Zatlał promyk mego ciepła?
A tyś zląkł się, kościotrupie!

. . . .

We łzach wychudłe ręce podnosimy do Ciebie
Duchu, mnóż nasze błędy,
Niechaj na wskroś porytej grzechami naszej glebie
Wyrasta oset wszędy;
Niechaj się na niej piętrzą zawody, bóle, straty,
Na krzyżu przybij ręce,
Tylko nam nie bierz, Duchu, naszej śnieżystej szaty,
Niepokalanej w męce!

Błagamy Cię w pokorze, niech zginą nasze czyny,
Duchu, chłostaj nas dalej,
Niech się pokórczą w bólu nasze córy i syny,
Niechaj się stos nasz pali.
Niech cała ludzkość będzie na krzywdy nasze głucha
I niech wróg nas bezcześci.
Tylko nas zbaw, o Duchu, od proroków bez ducha,
I od ludzi bez cześci!

W takim hymnie ludu stój,
Bo pieśń taka pójdzie górą
Nad krakowskich dusz naturą
Panująca, boży strój,
Taką pieśnią zmywaj plamy
I dąż, nad przesądów ramy,
Nad potwarzy wieniec z cierni,
Coraz wyżej w majestacie,
Coraz silniej, moi wierni,
Moją pieśnią stalcie męstwo,
Aż z mym duchem się spotkacie,
A spotkania plac — zwycięstwo!

Ferdynand Hoesick.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Urzędnicy kancelaryjni
sądów ziemskich i grodzkich
w dawnej Polsce.

Praca niniejsza jest wyjątkiem z obszerniejszej całości. Opiera się ona na aktach województwa ruskiego i bełzkiego, zawartych w archiwum krajowem we Lwowie. W literaturze naukowej polskiej poza tem, co o tym przedmiocie powiedział swego czasu Balzer w swej cennej pracy p. t. „Kancelarye i akta grodzkie w wieku XVIII.“ [1]), nie mamy żadnej innej pracy do zanotowania. Inne, późniejsze, dość liczne nawet, opracowania z zakresu urządzeń archiwalnych w Polsce, jak n. p. Kutrzeby, Wierzbowskiego, Sochaniewicza, nie dotykają wcale kwestyi urzędników kancelaryjnych. Wspomniana rozprawa prof. Balzera i dzisiaj, pomimo upływu lat 35 od chwili jej wydania, zatrzymała w całej pełni swą wartość, a jej twierdzenia, w pomnikach praktyki sądowej, na których się opierają nasze uwagi. znalazły nowe poparcie i uzasadnienie.

Stanowisko urzędników kancelaryjnych sądowych w Polsce było o wiele wyższe od tego stanowiska. jakie posiadają ci urzędnicy wedle urządzeń, panujących obecnie w Galicyi. Dzisiaj w Galicyi, między urzędnikami kancelaryjnymi sądowymi a urzędnikami t. zw. sędziowskimi. t. j. tymi, którzy pełnią funkcye sędziowskie, istnieje przedział głęboki, oparty na różnicy wykształcenia zawodowego, który w dalszej konsekwencyi pociąga za sobą różnicę

---

[1]) Lwów 1882, str. 7—13.

urzędową i społeczną. Urzędnik kancelaryjny dzisiejszy ograniczony jest wyłącznie do pracy czysto kancelaryjnej, w stosunkach zwykłych nie może mieć żadnej nadziei przejścia do kategoryi urzędników sędziowskich. Zupełnie odmienny obraz przedstawiały te stosunki w Polsce. Nie było między urzędnikami kancelaryjnymi a sędziowskimi tego głębokiego przedziału, owszem, wszyscy ci urzędnicy razem wzięci tworzyli jedno ciało zbiorowe. I jedni i drudzy pochodzili prawie wyłącznie ze stanu szlacheckiego, urzędnik kancelaryjny zdolny lub posiadający odpowiednie poparcie, mógł kolejno po przez stopnie służby kancelaryjnej, wznieść się do rzędu urzędników samoistnych sędziowskich. Co więcej, jeden wielki dział czynności urzędowych, dzisiaj przyznany urzędnikom sędziowskim, jurysdykcya t. zw. dobrowolna albo niesporna, w Polsce był powierzony urzędnikom kancelaryjnym.

Bardzo rozmaite i rozliczne były czynniki, którym prawo przyznawało udział, mniej lub więcej doniosły, w nadzorze i dysponowaniu księgami sądowemi. Pomijamy tu udział władz naczelnych, króla, sejmu a także sejmików. Do pewnego stopnia konkurowały z sejmikami również sądy skarbowe (fiskalne). Najbliższy był związek między urzędnikami sądowymi a księgami, a z pośród urzędników sądowych znowu, zwłaszcza o ile chodziło o księgi ziemskie, pisarza ziemskiego. On miał niekiedy w przechowaniu klucz od archiwum [1]), jemu też powierzano niejednokrotnie podpisywanie ekstraktów, wydawanych przez kancelaryę. [2]) On miał wciągać sam względnie nadzorować wpisywanie aktów do ksiąg, miał baczyć, aby w tych wpisach nie zaszedł żaden błąd, ani też podstęp.

Jakób Przyłuski w swoim wierszu z r. 1544, podówczas pisarz grodzki przemyski, powiada, że pisarz sądowy powinien być świadkiem czynności prawnych i stróżem aktów, nie pozwala on czynnościom prawnym ludzkim ginąć razem z ich śmiercią. [3]) Pisarz sądowy był też początkowo jedynym, a potem zawsze zwierzchnim naczelnikiem personalu kancelaryjnego.

Troska o akty ziemskie, o ich całość, ciężyła też na komornikach ziemskich. Sejmik z r. 1728 wyraża się, że „komornikom

---

[1]) A. G. Z., XXII., nr. 264/54, str. 665.
[2]) A. G. Z., XXII., nr. 182 4, str. 477.
[3]) Castr. Prem., T. 24, str. 2.

ziemskim de lege incumbit invigilare actis".[1]) Jeżeli miejsce, w którem księgi sądowe były przechowywane, nie zapewniało im zupełnego bezpieczeństwa, komornicy sami osobiście, niekiedy nawet przez dłuższy przeciąg czasu, pilnowali ksiąg. Dlatego to w razie ich zniszczenia oni manifestują przed sądem, że nie ich była wina.

Oprócz urzędników sądowych, którymi mogła być jedynie szlachta i to z antenatów, a więc nie świeżo nobilitowana (uchwała sejmiku halickiego z r. 1720)[2]), był jeszcze cały szereg osobnych urzędników kancelaryjnych, którzy razem wzięci tworzyli kancelaryę sądową, w osobowem tego słowa znaczeniu.

Jaki był początek i rozwój kancelaryj sądowych w osobowem znaczeniu tego wyrazu, rzecz ta nie jest jeszcze wyjaśniona, źródła zaś, któremi rozporządzamy, tej sprawy również nie rozjaśniają. To jednak zdaje się nie ulegać wątpliwości, że wyszły te kancelarye sądowe z funkcyj pisarza sądowego. Pierwotnie cała czynność pisarza była zamknięta w obrębie czasowym odbywania sądów. On zapisywał podczas sądów sprawy i wyroki, z chwilą, gdy sądy zamykano, zamykano i księgi do osobnych skrzyń. Z biegiem czasu, kiedy powstał rozłam na akty t. zw. sporne i niesporne, można było zapisywać te drugie w księgi nawet poza rokami sądowymi. Zarządzono t. zw. leżenie ksiąg ziemskich, pisarz był obowiązany urzędować i podczas tego leżenia celem przyjmowania wpisów i wydawania z ksiąg wypisów. Tak n. p. statut nieszawski z r. 1454 postanowił, iż pisarz „completo iudicio remanere debebit in loco, ubi factum est iudicium tribus diebus, pro dandis copiis actorum petentibus eas".[3]) Początkowo mógł zaradzić tej potrzebie sam pisarz, z biegiem czasu jednak, kiedy stosunki życia prawnego się mnożyły i komplikowały, musiano mu przydać pomocników, których liczba stopniowo wzrastała. Wobec rozrostu czynności kancelaryjnych, począł się personal kancelaryjny stopniowo specyalizować na rozmaite kategorye.

Na jego czele stał **r e g e n t** (rejent) kancelaryi sądowej. Istniał osobny regent kancelaryi ziemskiej, ziemski, i osobny regent kancelaryi grodzkiej, grodzki. Prawidłowo był nim szlachcic. Sejmiki domagały się, aby regentami byli nobiles possessionati et

---

[1]) A. G. Z., XXII., nr. 283/9, str. 707.
[2]) C a s t r. H a l i c., T. 217, str. 2249.
[3]) V. L., I., 251.

iurati, n. p. sejmik wiszeński z r. 1699 [1]), bełzki z przed lub z r. 1683, halicki z r. 1720 [2]), bełzki z 23 czerwca 1750 r. Spotykamy nawet wypadek usunięcia regenta bełzkiego Żalchockiego w r. 1683 z urzędu z powodu, iż nie oczyścił się z uczynionego mu zarzutu nieszlachectwa. Jednakże szlachectwo nie było zawsze konieczne, przynajmniej co do regentów grodzkich mamy stwierdzone, że szlachectwo nie było warunkiem nieodzownym. [3]) Tak n. p. regentem grodzkim sanockim był w r. 1730 niejaki Kornasiewicz, który za zasługi, położone około reparacyi ksiąg grodzkich i ziemskich, był przedstawiony przez sejmik z tegoż roku do szlachectwa. Sejm jednak nie uwzględnił wedle wszelkiego prawdopodobieństwa tej propozycyi, a zatem uznał pośrednio zasadę, że regent (grodzki) nie musi być szlachcicem. Niektóre uchwały sejmikowe z drugiej połowy w. XVII. wymagały, aby regent był osiadły (possessionatus). [4]) Regent był nazywany także niekiedy podpiskiem (vicenotarius) [5]), jednakże nazwy tej używano niejednokrotnie także na oznaczenie wszystkich w ogóle urzędników kancelaryjnych łącznie z regentem, susceptantem i innymi aż do najniższych. Zwano regenta także dyrektorem kancelaryi albo też jej stróżem, kustoszem (custos), lub klucznikiem (klawiger, klawier). Tej nazwy użył sejmik z r. 1714 i z r. 1715 [6]). Że w tym wypadku wyraz klawiger nie oznaczał osobnego urzędnika kancelaryjnego niższego, zależnego od regenta, o którym jeszcze osobno wspomniemy, ale samego regenta, to wynika z połączenia tych określeń (p. Ćwierkocki jako klawiger i dyrektor kancelaryi), a ponadto z uprawnień, jakie mu sejmik z r. 1714 przyznał. Jemu powierzono mianowicie opatrzenie sklepu archiwalnego i ustanowienie osobnego gospodarza kancelaryi. Regent tedy miał prawidłowo klucze od kancelaryi, powinien się starać o utrzymanie jej w dobrym stanie, a ponadto wedle niektórych uchwał sejmikowych musiał mieszkać w kancelaryi dla większego bezpieczeństwa aktów (propter securitatem actorum). [7])

Jakie były w szczególności obowiązki regenta kancelaryi, określa dokładniej rota przysięgi, jaką złożył regent grodzki lwowski, Teofil Szczuka. Wprawdzie nominacya ta pochodzi już z r. 1773,

---

[1]) A. G. Z., XXII., nr. 119/20, str. 331.

[2]) Castr. Halic., T. 217, str. 2249.

[3]) Jak twierdzi Balzer, Kancelarye, str. 9.

[4]) Castr. Halic., T. 167, str. 1373.

[5]) A. G. Z., XXII., nr. 119/20, str. 331.

[6]) Ibidem, nr. 231/9, str. 578—579; nr. 245/24, str. 620.

[7]) Ibidem, nr. 245/24, str. 620.

a zatem z czasów austryackich. ponieważ jednak organizacya sądowa opierała się podówczas jeszcze na podstawach polskich, przeto możemy przyjąć, że i za czasów polskich obowiązki te były te same. W szczególności regent miał przyjmować wszelkie zeznania, wpisy. protestacye, manifestacye, obdukcye i w ogóle wszelkie akty prawne, które powinien spisać wiernie (transactiones suscipere). Wedle uchwały sejmiku bełzkiego z d. 23 czerwca 1750 r. powinien był regent przyjmować transakcye osobiście.

Kwestya warunków. pod jakimi regent mógł przyjmować wpisy do ksiąg, wychodzi poza obręb granic, jakie sobie w tej pracy zakreśliliśmy. Jeden z dokumentów wyjaśnia, że jedynie akty treści prawnej mogą być przyjmowane, panegiryki zaś, pochwały i w ogóle utwory fikcyjne nie nadają się do wpisów. Gdy strona jawiła się przed sądem z żądaniem wpisu jakiejś skargi, naczelnik kancelaryi nie mógł badać prawdziwości tej skargi, lecz musiał ją przyjąć do wpisu. tak samo jednak nie mógł odmówić wpisu zażaleniom strony przeciwnej.

Zapis, zeznany przez stronę, musiał być wpisany zgodnie z jej zeznaniem, nie wolno było czynić w nim żadnych zmian. Prawdziwość zapisu stwierdzała strona w protokole swoim podpisem. Wszelka samowolna zmiana zapisu przez urzędników była niedopuszczalna, uważano ją jako pogwałcenie i splamienie zapisu (violatio et maculatio inscriptionis). Uważano, iż urzędnik, który dopuszcza się takiego czynu, narusza nie tylko przysięgę urzędową i prawa królestwa, ale nadto dobrą wiarę (fides, honestas) i prawo boskie (pactio divini numinis religione firmata).

Osobne istniały też zakazy, zabraniające pozostawiać w księgach miejsc wolnych i niezapisanych (vacua spatia)[1]. Wedle przepisu prawa i praktyki kancelaryjnej transakcye. wniesione do protokołu, miały być zapisane do dni trzech, jeżeli zaś do tego czasu kopie nie zostały podane, przestrzeń niezapisana miała być skreślona, począwszy od dnia czwartego jako vacuum. Oczywiście zapis, dla którego w protokole zastrzeżono miejsce, którego jednak nie uzupełniono, nie mógł być też przeniesiony do indukty.

Po zajęciu Galicyi przez Austryę zabroniono kilku postanowieniami, między innemi orzeczeniem najwyższego trybunału sądowego we Lwowie z d. 10 grudnia 1777 r., przyjmować od stron prywatnych do aktów sądowych manifestacyj.

---

[1]) Castr. Tremb.. T. 219. str. 7—9. z r. 1761

W każdym razie, jak się wyraża jeden z dokumentów, regent miał zarówno przy przyjmowaniu wpisów, jak i wydawaniu ekstraktów kierować się przedewszystkiem względami na dobro swego powiatu. Dalej powinien regent wydawać żądane wypisy (ekstrakty) z aktów (transactiones extradere).

Przy spełnianiu swych czynności miał się regent kierować jedynie względami sprawiedliwości, nie zaś jakimikolwiek innymi. Regent był zwierzchnikiem urzędników kancelaryjnych, nazywano go dlatego patronus palestrae, on wykonywał nad nimi nadzór, jak się wyrażają dokumenty, jego zadaniem było: palestram gerere et moderare, palestram in modestia gerere, palestra była obowiązana wobec regenta do należytego uszanowania (debita observantia). Regent rozdzielał między urzędników pracę, w szczególności rozdzielał między nich do przepisywania w indukte poszczególne seksterny protokołów, następnie kontrolował, czy i o ile poszczególni urzędnicy wydzieloną im pracę spełnili, pracę zaś gotową od nich odbierał. On także zlecał swym urzędnikom przeprowadzenie porównania i zgodności protokołu z induktą.

Regent przeprowadzał sam albo też zlecał podwładnym urzędnikom przeprowadzenie kwerend, on też, znowu sam lub przez swych urzędników, wykonywał nadzór nad osobami prywatnemi, które same przeprowadzały poszukiwania. Dlatego regent musiał być obecnym zawsze w kancelaryi, a jeżeli z jakichkolwiek powodów był nieobecnym, musiał wskazać, gdzie go strony miały szukać i na każde ich wezwanie jawić się w kancelaryi.

Do regenta należała troska o należytą konserwacyę i naprawę aktów (securitati actorum prospicere). Regent miał się również troszczyć i o to, aby potrzeby kancelaryi pod względem opału i stróży były zaspokojone, w szczególności, aby ci, na których ciężył ten obowiązek, nie zaniedbywali go.

Do regenta należało także staranie się o to, aby rozporządzenia władzy wyższej, jak n. p. uniwersały, mandaty królewskie i innych władz były należycie ogłoszone i publikowane po parafiach. [1])

Za czasów austryackich, w okresie przejściowym, w którym obowiązywał jeszcze dawny ustrój sądowy polski, spełniali regenci, względnie ich zastępcy z polecenia rządu, mianowicie na podstawie mandatu gubernium galicyjskiego z d. 5 maja 1774 r. jeszcze jedną czynność. Mieli oni mianowicie badać, czy poborcy podat-

---

[1]) Castr. Bełz., T. 300, str. 931.

kowi (collectores contributionum) posiadają wymagane prawem zabezpieczenie majątkowe i to zabezpieczenie (kaucyę) zapisywać w księgi sądowe. [1])

Opłaty kancelaryjne, jakie pobierano od stron za rozmaite czynności, przechowywał regent, dawniej pisarz, i miał je obracać na potrzeby kancelaryi. On również zarządzał rzeczami i sumami, jakie były składane w depozyt sądowy, za ich całość był on odpowiedzialny swem własnem mieniem, względnie odpowiadali za to i jego sukcesorowie.

Część dochodów kancelaryjnych zabierał regent dla siebie. Kwestya, jakie dochody należały do regenta, kształtowała się rozmaicie. Możemy przedewszystkiem przyjąć, że im wybitniejsze zyskiwał regent z biegiem czasu stanowisko w kancelaryi, tem też bardziej wzrastały jego z niej dochody. Były tu ponadto pewne różnice partykularne, a niewątpliwie także nieco odmiennie przedstawiała się ta sprawa w sądach ziemskich a grodzkich. Dokument nominacyjny dla regenta grodzkiego halickiego z r. 1758 przyznał mu wszelkie dochody (ususfructus) z suscept i wszelkich protokołów, t. j. inskrypcyj, relacyj i plenipotencyj, a także dochody z pieczęci grodzkiej. [2])

Jest rzeczą jasną, że dochody regenta były tem większe, im większa i ruchliwsza była odnośna kancelarya sądowa. Stanowisko majątkowe regenta lwowskiego n. p. było o wiele lepsze, niż n. p. regenta buskiego. Czasu wojny, kiedy tranzakcye prawne były rzadsze, kiedy nawet sądy nie zawsze mogły funkcyonować, dochody regenta oczywiście spadały, niekiedy nawet ledwie wystarczały na bardzo skromne utrzymanie.

Regent również obliczał i wydzielał udziały, do jakich w tych poborach miał prawo pisarz sądowy, a także inni urzędnicy kancelaryjni. Udział regenta pod tym względem wstąpił z czasem w miejsce udziału pisarza, który w ten sposób został uszczuplony. W sądzie ziemskim dochody od wyroków i jakichkolwiek innych listów sądowych, dalej od pamiętnego, od rozmaitych zeznań, wpisów, pokwitowań, relacyj, protestacyj, dalej od kar sądowych i od badań świadków dzieliły się na trzy równe części, między sędziego, podsędka i pisarza.

Niejednokrotnie pobierali pisarze względnie regenci opłaty ponad przepis prawny, tak n. p. pisarz ziemski sanocki, Zygmunt

---

[1]) Castr. Tremb., fasc. 12, nr. 767.

[2]) Dąbkowski, Księgi halickie, str. 10.

Dunikowski, wybierał od swego podpisu ponad przepis prawa po jednym złotym.

W sądzie znowu grodzkim pewien udział w dochodach miał między innymi podstarości. Do niego należały mianowicie wedle dawnego zwyczaju opłaty od wpisów w protokole inskrypcyj. Być może, pobierał on tę opłatę przy sposobności przepisywania protokołu w induktę.

Jest to rzeczą zrozumiałą, iż regenci, pobierając i zarządzając opłatami, niejednokrotnie byli narażeni na pokusę zatrzymywania części opłat, należących innym urzędnikom, dla siebie.

Mamy dowody w aktach sejmikowych, że regenci nie zawsze pilnie przestrzegali swych obowiązków urzędowych [1], niekiedy zaś wprost dopuszczali się takich nadużyć względnie przekroczeń, że musiano ich usuwać z urzędu, n. p. regentów grodzkich trembowelskich, Jana Łazańskiego w r. 1673, a Jana Kosibskiego w r. 1718. Zaznaczyć jednakże należy, iż wypadki takie były wyjątkowe.

Ponieważ z kancelaryą grodzką była połączona t. zw. obora królewska, do której zapędzano zbłąkane bydło, przeto regenci jako zwierzchnicy kancelaryi byli również zarządcami obór i z nich również pobierali pewien dochód. Niejednokrotnie dopuszczali się oni pod tym względem pewnych przekroczeń, zmuszając do oddawania do obór tego bydła, jakie wojskowi zabrali tytułem zdobyczy wojennej. Do tych stosunków odnosi się uchwała sejmiku halickiego z d. 3 sierpnia 1716 r., wytykająca regentom grodzkim ziemi halickiej, t. j. halickiemu i trembowelskiemu, pewne nadużycia pod tym względem. [2])

Sejmik województwa bełzkiego z d. 18 marca 1733 r. domagał się, aby regentom ziemskim przyznano jeszcze pewne funkcye. W czasie sądów trybunalskich mieli mianowicie ci regenci zapisywać w rejestry sprawy własnego województwa.

Mianowanie i usuwanie regentów grodzkich należało prawidłowo do zakresu uprawnień starosty grodzkiego. W tej funkcyi swej był on zupełnie nieograniczony. Jednakże znajdujemy również, jakkolwiek o wiele rzadsze, wypadki mianowania regentów grodzkich przez pisarzy grodzkich. Tak n. p. regenta grodzkiego bełzkiego, Teofila Bukara, w r. 1644 oznaczył ówczesny pisarz grodzki

---

[1]) A. G. Z., XXII., nr. 119/20, str. 331.

[2]) Castr. Halic., T. 451, str. 567.

bełzki, Samuel Kurdwanowski.[1]) Regentów ziemskich mianował pisarz ziemski, niekiedy także sam sejmik wyznaczał regenta, którego potem pisarz potwierdzał.

Nowy regent składał przysięgę na wierne pełnienie swych funkcyj wedle roty, której tekst był ustalony, wobec samego starosty, względnie sądu ziemskiego, urzędników ziemskich, grodzkich i innych, tudzież zgromadzonej szlachty, poczem sam starosta, albo też w jego zastępstwie jeden z urzędników grodzkich, n. p. sędzia grodzki, wprowadzał go w urzędowanie w ten sposób, iż oddawał mu kancelaryę grodzką, z aktami, depozytami. Od tej chwili regent obejmował swe czynności. Regent zatem musiał być zaprzysiężony (iuratus), inaczej nie mógł pełnić swych czynności. Warunek ten odnosił się zarówno do regentów grodzkich, jak i ziemskich. Jednakże w drugiej połowie w. XVII. w ziemi halickiej rozpowszechnił się zwyczaj, a raczej nadużycie, iż regenci nie składali przysięgi. Przeciw temu wystąpił sejmik z d. 15 grudnia 1671 r.[2])

Prawo usunięcia regenta służyło tej osobie, której służyło prawo jego nominacyi, a zatem prawidłowo co do regentów grodzkich, staroście względnie pisarzowi grodzkiemu. Pisarz grodzki bełzki, Kasper Zaniski, w połowie w. XVII., być może, nadużywał swej władzy, usuwając regentów co lat kilka, a nawet i kilkakrotnie w ciągu roku.

Ponieważ mianowanie regentów grodzkich należało do starosty, przeto władza regenta była pojmowana jako wypływ władzy starościnskiej, stąd wynikała konsekwencya, iż z chwilą, gdy gasła władza starosty, gasł również urząd regenta grodzkiego. Nowy tedy starosta nie był obowiązany utrzymywać na urzędzie regenta, którego ustanowił jego poprzednik. I rzeczywiście znajdujemy, co prawda wyjątkowo tylko, wypadki nawet jeszcze pod sam koniec XVIII. w., w których nowy starosta wzywa regenta, ustanowionego przez swego poprzednika, do ustąpienia. Nawet pod nowymi rządami austryackimi utrzymała się ta zasada. Jednakże przeważnie nowi starostowie nie korzystali z tego uprawnienia, pozostawiając na urzędach dotychczasowych regentów. Koniec tedy władzy starościńskiej wywierał taki sam wpływ na urząd regenta, jak

[1]) In officio hoc vicenotariatus mihi per generosum notarium loci praesentis commisso et concredito, fidelis ero. Castr. Bełz., T. 230, str. 627—628.

[2]) Castr. Halic., T. 154, str. 549—550.

na prowadzenie ksiąg sądowych, zamykano te księgi, a rozpoczynano nowe, a podobnie usuwano z urzędu regenta dawnego, a ustanawiano nowego.

Niekiedy znowu, jakkolwiek również rzadko, zdarzały się wypadki odwrotne, regent sam rezygnował ze swej posady, z powodów rozmaitych. Bądź to z powodu braku zupełnego wszelkich dochodów, bądź to z powodu innych uciążliwości, na jakie natrafiał w swem urzędowaniu. Tak n. p. mamy wiadomość o rezygnacyi regenta grodzkiego trembowelskiego, Jana Włodkowskiego, w roku 1689.

Regent ustępujący, bez względu na powody ustąpienia, winien był oddać w ręce swego następcy kancelaryę i archiwum w zupełnym porządku. Nie zawsze jednak tak się działo. Ustępujący regent niejednokrotnie zatrzymywał bądź to pewne kategorye aktów, pewne części dochodów kancelaryjnych, niektóre ubikacye kancelaryjne i dopiero drogą sądową trzeba go było zmuszać, iżby rzeczy te zwrócił, względnie z ubikacyj kancelaryjnych ustąpił.

Oprócz urzędu regenta występuje niekiedy osobny zastępca regenta, wiceregent. Istnienie tego urzędu mamy n. p. stwierdzone około połowy w. XVII. w kancelaryi grodzkiej trembowelskiej, wspominają o nim również uchwała sejmikowa z r. 1699 [1]) i dokument nominacyjny regenta Szczuki z r. 1773 [2]). Wedle roty, jaką złożył wiceregent grodzki trembowelski w r. 1660, Jan Więckowski, było jego obowiązkiem być wiernym doradcą sędziego, sporne podania stron, ich żądania i wyroki sędziego miał on zapisywać wiernie do ksiąg względnie takiego wpisu przypilnować. Do pewnego tedy stopnia zakres jego czynności pokrywał się z tym zakresem, jaki przypadał w udziele samemu regentowi. Zastępca regenta mógł być albo urzędnikiem stałym, mianowanym przez starostę, o ile chodziło o kancelaryę grodzką, albo też mógł sam regent w miarę potrzeby ustanawiać swego zastępcę na zawsze, albo też tylko na pewien okres czasu, lub do pewnych czynności, przyczem taki zastępca nie musiał posiadać charakteru urzędnika, ale był jedynie pracownikiem, zgodzonym za pewnem wynagrodzeniem (najemnym).

Najwyższym urzędnikiem kancelaryjnym po regencie był t. z. susceptant. Akta urzędowe wymieniają go bezpośrednio po

---

[1]) A. G. Z., XXII., nr. 119/20. str. 331

[2]) Castr. Leop., T. 614. str. 513—516.

regencie [1], o ile tedy nie było osobnego zastępcy regenta, susceptant był jego zastępcą. Wedle żądań sejmikowych (z r. 1699) susceptant musiał być szlachcicem, samo to żądanie jednak dowodzi, że w praktyce nie przestrzegano tego wymogu. Jakie były czynności susceptanta, jest rzeczą znaną [2], wynika to ponadto już z samej jego nazwy. On miał tedy przyjmować od stron wpisy do ksiąg. Była to czynność oczywiście bardzo doniosła i ważna, ze względu na znaczenie wpisu sądowego. Susceptant winien był być zawsze obecnym przy przyjmowaniu zapisów, inaczej można było pociągnąć go za to do odpowiedzialności. Przyjmowanie zapisów mogło się odbywać jedynie tylko w lokalu kancelaryjnym. Niekiedy powierzano susceptantowi także nadzór nad wydawaniem ekstraktów (attendencya wydawania ekstraktów) i przeprowadzanie ich korekty, na znak czego podpisywał on korektę i wyciskał na ekstrakcie pieczęć. [3]

Susceptant był właściwie tylko urzędnikiem zastępczym regenta, regent był właściwym kierownikiem kancelaryi, jednakże zdarzało się także (w XVIII. w.), że regent sam nie zajmował się prawie zarządem kancelaryi, lecz zlewał te funkcye zupełnie na susceptanta. Tak n. p. ordynacya kancelaryjna sanocka z r. 1717 zna jako zwierzchnika kancelaryjnego tylko susceptanta. Nominacyę susceptanta pozostawiano zwykle, zwłaszcza w czasach późniejszych, uznaniu regenta.

Nie zawsze stosunek susceptanta do regenta był urzędowy, w w. XVIII. spotykamy wypadki, w których ten stosunek opierał się na zasadzie najmu, regent wydzierżawiał susceptę susceptantowi na pewien okres czasu, susceptant pobierał wszelkie dochody, regentowi zaś opłacał jedynie czynsz. Po upływie czasu kontraktu stosunek mógł być albo przedłużony z dotychczasowym susceptantem, albo też rozwiązany i nawiązany z kim innym, który ewentualnie ofiarował lepsze warunki. W tym wypadku stanowisko susceptanta było zupełnie samodzielne, mógł on też urzędowanie swoje urządzić nie w kancelaryi, ale w swojem własnem mieszkaniu. Oczywiście w tym wypadku, gdy właściwe kierownictwo kancelaryą spoczywało w ręku susceptanta, on miał naczelny nadzór nad palestrantami i nad aktami, rozdzielał między urzędników pracę i miał prawo wymierzania kar porządkowych. W wypadku cięż-

---

[1]) A. G. Z., XXII., nr. 283/9, str. 707.

[2]) Balzer, Kancelarye, str. 11.

[3]) A. G. Z., XXII., nr. 182/4, str. 477.

kiego przewinienia ze strony palestrantów, miał on donieść o tem sądowi.

Urząd susceptanta był bardzo intratny, a zarazem tworzył najbliższy stopień do samodzielnej posady regenta. Niekiedy jednak susceptant nie pobierał części dochodów kancelaryjnych, ale otrzymywał od regenta stałą roczną pensyę bez względu na dochody i wydatki kancelaryjne. Tak n. p. regent Pawłowski, w swej ordynacyi z r. 1774, zapewnił susceptantowi roczną pensyę w kwocie 300 zł. p., jego zastępcy 150 zł. p.

Liczną kategoryę urzędników kancelaryjnych tworzyli t. zw. inducenci. Zadaniem ich było wpisy, zaciągnięte do protokołów, przepisywać, z uzupełnieniem prawem przepisanych form do indukt. Na znak przepisania skreślano zwykle odnośne wpisy w protokole, przyczem inducent podawał pospolicie u dołu strony przepisanej swe nazwisko. W ten sposób zachowały nam protokoły cały szereg nazwisk inducentów. Jednakże ten zwyczaj skreślania wpisów, które zostały już wciągnięte do indukty i podpisywania przez inducenta swego nazwiska, ustał z chwilą nastania rządów austryackich, przynajmniej gdzieniegdzie, jak n. p. w grodzie halickim. W innych aktach, n. p. bełzkich, wpisów, przeniesionych w ten sposób z protokołu do indukty, nie skreślano, a nazwisko swe kładł inducent u góry na pierwszej stronie każdego seksternu. Niekiedy znowu w tych mianowicie wypadkach, gdy seksterny protokołów posiadały osobną niezapisaną okładkę, podawano nazwisko inducenta na odwrotnej stronie tej okładki.

W prawidłowym toku urzędowania chodziło o to, aby wpisy z protokołów przepisywano jak najrychlej, aby ile możności indukta dotrzymywała kroku protokołowi. Za swe czynności pobierali inducenci wynagrodzenie, opłacał ich zwykle regent względnie susceptant z dochodów kancelaryjnych. Wedle instrukcyi regenta Szawłowskiego z r. 1774 pobierali oni od jednego seksternu sześcioarkuszowego po dwa złote, ponadto mieli jeszcze tę korzyść zapewnioną, iż tylko ci palestranci, którzy pisali induktę, byli dopuszczeni do wydawania ekstraktów.

Przepisywanie zapisów z protokołu do indukty mogło się odbywać jedynie w lokalu kancelaryjnym, gdyż ksiąg w ogóle nie wolno było poza obręb kancelaryi wynosić. Rozdział pracy między inducentów należał do susceptanta względnie regenta. Każdy inducent winien był, wedle postanowień ordynacyi sanockiej z roku 1717, przepisywać tygodniowo jeden sekstern. Ordynacya ta określiła tę ilość jako minimum, ale równocześnie i jako maximum

pracy, biorąc wzgląd na to, iż inducenci oprócz pisania indukty byli zajęci jeszcze innemi pracami i często od swej pracy głównej byli do innych zajęć odrywani. Żaden inducent nie miał się mieszać do pracy innych współinducentów.

Indukta miała być pisana bez kreśleń i odstępów (absque limis et paragraphis) i charakterem wyraźnym (charactere exacto), na jednej stronie winno się było zmieścić co najmniej 24 wierszy. Sekstern przepisany powinien być skolacyonowany, czyli opatrzony lektą. potem miał być złożony w archiwum. Seksterny przepisane należało przedstawiać pisarzowi grodzkiemu, ilekroć przybył do kancelaryi.[1])

Osobną kategoryę urzędników kancelaryjnych tworzyli t. z. lektanci (lectantes). Oni kolacyonowali czyli, jak mówiono podówczas, czytali (legere) wypisy, wydane z aktów (ekstrakty), czyli przeprowadzali lektę (korektę), mieli zatem wyłapywać w tekście ekstraktów błędy i poprawiać je, aby ekstraktów nie wydawano z błędami. Na znak przeprowadzonej lekty podpisywali się oni na ekstraktach. Nikt inny nie miał przeprowadzać lekty. Urzędnik, który nie będąc lektantem, ośmieliłby się to uczynić, albo też podpis lektanta sfałszować, podlegał surowej karze. Jednakże, wedle innych źródeł, lektanci ograniczali się jedynie do czytania ekstraktów. lektę zaś przeprowadzał i podpisywał susceptant. Postępowanie tedy przy wydawaniu ekstraktów było ściśle określone, miały te ścisłe przepisy zapobiedz, aby do ekstraktów nie wkradały się ewentualne pomyłki. Postępowanie to polegało tedy na tem, iż odnośny wpis przepisywał skrybent, lektant czytał go i na znak przeprowadzonej lekty kładł swój podpis, potem zaś kierownik na podstawie lekty podpisywał t. z. korektę i przykładał pieczęć.

Pod względem formy zewnętrznej ekstrakty musiały być tedy zaopatrzone w pieczęć i dopisek o przeprowadzonej korekcie, bez których to znaków nie mogły być nikomu wydawane. Jak się wyraziła ordynacya sanocka z r. 1717: extractus sine sigillo et correcta nemini extradendi sunt. Korekta mogła być przeprowadzona dopiero po uiszczeniu zapłaty od pieczęci. Ekstrakty powinny być wydawane bez żadnych skreśleń i pisane jednym ciągiem bez odstępów (sine lima et paragraphis). Na jednej stronie ekstraktu powinno się mieścić co najmniej 18 wierszy.[2]) Oczywiście wydany ekstrakt musiał być zupełnie zgodny z wpisem w księgach. Jeżeli

---

[1]) Castr. Sanoc., Fasc. cop. 35, nr. 1155.
[2]) Ordynacya sanocka 1717.

urzędnik kancelaryi wydał ekstrakt, niezgodny z wpisem, pociągano go za to do odpowiedzialności, zarówno jego samego, jak i regenta, który taką niezgodność przeoczył.[1]) Ordynacya sanocka z r. 1717 nakazywała susceptantom baczyć pilnie na to, aby ekstrakty były wygotowywane w sposób należyty, w czem upatrywała słusznie bezpieczeństwo i chwałę kancelaryi (securitas et gloria cancellariae).

Niekiedy zdarzało się, że ci lektanci, sami lub w porozumieniu z innymi jeszcze urzędnikami kancelaryi, wydawali bezprawnie ekstrakty z aktów, podpisując na nich fałszywie na znak przeprowadzonej korekty susceptanta i przykładając do takich ekstraktów pieczęć sądową, czem oczywiście uszczuplali dochody susceptanta. Za swoje czynności pobierali lektanci pewne wynagrodzenie. Wedle ordynacyi kancelaryi halickiej z r. 1760 tylko ci z palestry mieli być dopuszczeni do funkcyi lektantów, którzy odznaczali się pilnością w indukowaniu wpisów, inni palestranci, którzy pojawiali się w kancelaryi jedynie w czasie sądów, nie mogli być dopuszczeni do czynności lektantów. Odpisy z aktów mogły być sporządzane jedynie w samej kancelaryi, nie wolno było palestrantom brać ze sobą aktów (kopij) do swych mieszkań i tam sporządzać ekstraktów.

Wedle ordynacyi sądu ziemskiego lwowskiego i żydaczowskiego z r. 1765 ustanawiał lektantów pisarz ziemski[2]), poza tem prawidłowo susceptant. Regulamin kancelaryi trembowelskiej z r. 1776 stanowił, że lektantami mogli być jedynie ci, którzy odbyli poprzednio praktykę w kancelaryi jakiegoś mecenasa[3]), w każdym razie powoływano na to stanowisko tylko zdolniejszych palestrantów. Susceptant wydzielał też lektantom pracę. Dla kontroli tych czynności miał susceptant prowadzić osobny protokół, w którym miały być zapisane ekstrakty, komu zostały oddane do wygotowania i przez kogo były czytane.

Specyalny urzędnik miał w przechowaniu pieczęć sądową (grodzką względnie ziemską) i on pobierał opłaty od stron, należne za wyciśnięcie pieczęci, które następnie był obowiązany wydać pisarzowi.

Z innych urzędników kancelaryjnych wymieniają źródła jeszcze osobnego klucznika (claviger), który miał klucze od archiwum.

---

[1]) Castr. Bełz., T. 235, str. 337—339.
[2]) Terr. Żydacz., T. 14, str. 1—3.
[3]) Castr. Tremb., T. 364, str. 22—23.

Temu to urzędnikowi zlecił sejmik z r. 1710 czynność przykładania pieczęci do wydawanych ekstraktów.[1]) Tak zatem widzimy, że praktyka co do tego, komu powierzano klucze od archiwum, nie była ustalona, raz powierzano je pisarzowi, to znowu regentowi, to wreszcie osobnemu urzędnikowi, klucznikowi. Wedle niektórych ordynacyj kancelaryjnych był jeden, wedle innych było dwóch kluczników. Ten ostatni wypadek zachodził n. p. wedle ordynacyi kancelaryi grodzkiej sanockiej z r. 1717. W myśl tejże ordynacyi mianował ich susceptant wedle swego swobodnego uznania, podlegali oni też władzy susceptanta. Urzędowali równocześnie i równorzędnie, w razie przeszkody po stronie jednego zachodzącej, zastępował go drugi. Mieli oni uważać, aby księgi, kopie, i w ogóle akta sądowe nie były rozrzucane, lecz składane zawsze na swojem miejscu. Mieli też czuwać nad tem, aby żadne księgi i akta nie były wynoszone bez właściwego zezwolenia.

[1]) A. G. Z., XXII., nr 182/4, str. 477.

Dr. Przemysław Dąbkowski.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Żygmunt Kaczkowski

i jego czasy.

(Na podstawie źródeł i materyałów rękopiśmiennych).

(Ciąg dalszy.)

Tak ciągle targany wiadomościami, nie zawsze prawdziwemi, które tylko budziły nieuzasadnione nadzieje, zgnębiony zarazem śmiercią ojca, z którego zgonem — jak pisał — „zerwał się ostatni węzeł rodzinny, jaki wiązał go z krajem“, — musiał przytem myśleć Kaczkowski o zgotowaniu sobie jakiej takiej przyszłości na obczyźnie. Na zapytanie Seweryna Smarzewskiego w tym względzie, odpowiada:

„Postanowienie moje zależeć będzie od zakończenia mojej sprawy. Teraz mogę Ci tylko tyle donieść, iż, jakem się tego spodziewał i o czem podobno nadmieniłem w moim liście, pisanym do Ciebie na wyjezdnem ze Lwowa, pozostanie w Paryżu, a nawet wyrobienie sobie tutaj pewnego stanowiska, byłoby mi dość łatwem. Do dziś dnia już mam propozycye od dwóch dzienników francuskich, ażebym wstąpił do ich redakcyi jako referent spraw niemieckich. Praca to niewielka — ale tutaj popłatna. Ofiarują mi na początek 6000 fr. rocznie z widokiem awansu na współredaktora i 12.000 fr. Potargowawszy się — a mianowicie popracowawszy parę miesięcy darmo, mógłbym potem od razu wstąpić jako współ-

redaktor i dostać więcej niż 6000, a może nawet od razu 12.000. Tobym otrzymał tem pewniej. gdybym wstąpił do którego z półurzędowych dzienników lub do tej warstwy należących. jak n. p. „Pays“, albo „La France“. Wstąpiwszy do takiego dziennika, miałbym tę korzyść, iż mógłbym się bardzo prędko naturalizować, wejść jak najłatwiej we wszystkie Stowarzyszenia literackie i artystyczne, zdobyć sobie w krótkim czasie pewne stanowisko (ręczę Ci za to, że daleko lepsze, niżeli ma taki Choński, albo Chojecki), a nawet przyjść do Legii honorowej. Wstępując zaś do takiego dziennika, jak n. p. „La Presse“ Girardina, przy moim jakimkolwiek talencie do polemiki i mogąc nią wojować przeciwko Niemcom, mógłbym z nim zrobić doskonały interes pieniężny. Wszystko już wysondowałem dokładnie — i muszę Ci powiedzieć. iż miałem przytem niemałą pociechę, a to nietylko dlatego. żem się przekonał. żebym tu z głodu nie umarł, ale także dlatego, że mnie tu w takich kołach wszędzie znają z nazwiska, jeżeli nie jako autora, to pewnie jako Redaktora „Głosu“, i tę okoliczność uwzględniają. Zaś co do sprawy mojej z Władzami rewolucyjnemi, to jedni o niej wiedzą, drudzy nie wiedzą, lecz i jedni i drudzy mają ją za nic, *pour rien*. Francuz jest praktyczny i pyta przedewszystkiem o fakt, a z człowiekiem, który mu faktu nie umie określić, nie gada. — Takiebym tedy mógł mieć widoki tutaj. któreby jeszcze mogły być o tyle lepsze, ileże czuję się jeszcze tak młodym, iż miałbym odwagę jeszcze się zacząć czegoś uczyć i nauczyć; możnaby zatem od referatu spraw niemieckich pójść z czasem dalej. Lecz przyznam Ci się, że mnie ten widok wcale nie ciagnie.“

Nie pociągały go te widoki przyszłości w obczyźnie! Pomimo bowiem goryczy, jaka mu zalewała duszę, Kaczkowski począł wtenczas tęsknić do kraju. do literackiej pracy wśród swoich, którąby całą ożywczą siłę czerpać mogła z ojczystego powietrza i rodzinnej ziemi. To też wyznaje w dalszym ciągu przyjacielowi:

„Nie mogę się tutaj zaaklimatyzować, — i czuję naprzód, że. niby mi tutaj tak nie smakowało, jak w Polsce. Krótko mówiąc, jestem albo zanadto polskim, albo już za starym, abym się mógł dobrowolnie expatriować. Prócz tego. wziąwszy się tu do roboty, trzebaby zrobić wieczny rozbrat z polską literaturą. Nie wiem, czy to, co jeszcze po polsku napiszę, będzie co warte. czy nie, ale czuję to, że jestem mocno nabity. muszę się koniecznie wypisać — a gdybym się nie wypisał, śród najszczęśliwszych powodzeń we Francyi, niestrawność tę wlókłbym z sobą do grobu. Powtarzam Ci zatem, że jeszcze dziś nie wiem: lecz zdaje mi się, że jeżeli

mnie okoliczności do emigracyi nie zmuszą, to pewnie powrócę do kraju.“ [1])

Nie powrócił wszakże na stałe już nigdy, a z literaturą polską przez długie lata wziął rozbrat, — do prac bowiem literackich trudno zaliczyć, wydaną w Paryżu w r. 1866, broszurę p. t. „Rewolucyjne sądy i wyroki“, napisaną w obronie własnej, w owej nieszczęsnej sprawie swego zasądzenia. Sprawa ta ciężyła mu ciągle kamieniem na duszy i nie dawała spokoju. W pierwszych dniach maja pognała go ona do Londynu, zkąd powróciwszy, donosi d. 10 maja Sewerynowi Smarzewskiemu [2]), że tam znalazł „inny świat, atmosferę chłodną i zdrową, politycznej presyi, iluzyi, blagi nic a nic“. To też tam i na jego sprawę „zupełnie inaczej się zapatrują“. Widział tam wszystkich swoich znajomych i „nie znalazł wśród nich ani jednego, któryby miał o nim najmniejszą wątpliwość“, chociaż i tam swego czasu dochodziły „wszystkie wersye i plotki, a nawet premedytowane insynuacye“. Wszystkie te zdania streszczają się w słowach, wypowiedzianych przez generała Zamoyskiego. Powiedział mu on: „Ja tej sprawy szczegółowo nie roztrząsałem, i nawet jej roztrząsać nie będę, bo faktu nie widzę. Gdzie jest zdrada, tam są jej skutki. Zresztą, znam Pana i znam naszą demokracyę, i to mnie tem bardziej od egzaminowania tej sprawy dyspensuje.“ — „Zamoyski — pisze dalej Kaczkowski — krótko i węzłowato tę kwestyę odprawił, był ze mną sam i prosił mnie, abym ja z nim był tak samo, jakeśmy byli dotychczas. Tak samo zachowali się wszyscy. — Prawie razem ze mną przyjechał tu Mieczysław Waligórski, który pod firmą X. Konst. Czartoryskiego był rzeczywistym Komisarzem Rządu Nar. w Londynie. Bardzo mi to było na rękę, bo Waligórski jest człowiek rozumny, zręczny, a co najważniejsza, spokojny — on mi był tedy najlepszym na parlamentarza do X. Adama... Kiedy był pierwszy raz u Sapiehy i zaczepił o tę historyę, Sapieha był nadzwyczajnie zajęty i roztargniony i odpowiedział mu krótko: Zrobię wszystko dla niego, ale niech mi krótko napisze, co i jak mam zrobić. — Napisałem więc taką notatkę. Kiedy mu ją Waligórski oddał, Sapieha mu dał taką odpowiedź, której sens krótki da się wyrazić następnie: Najpierwej dziwię się, że Pan się dotykasz tej sprawy; co to z tem robić w tych czasach? a powtóre: Czego on chce?

---

[1]) List z d. 19 i 20 kwietnia 1864 r. Ze zbiorów Tadeusz-marzewskiego. Ms.

[2]) List ze zbiorów Tadeusza Smarzewskiego. Ms.

na co rozmazywać tę sprawę? Wyrok jest skasowany — reszta się pomału zatrze i zapomni. — Wtedy Waligórski powiedział mu kazanie... dał mu uczuć całe swoje oburzenie, co mu było tem łatwiej, ile że lubo nie był tak bliskiemi i tak jawnemi stosunkami ze mną związany, jak Sapieha, przyznał się do jawnej przyjaźni ze mną i oświadczył postanowienie utrzymania tej przyjaźni w jawności zawsze i wszędzie. Rozmowa skończyła się na tem, iż Sapieha obiecał oddać tę sprawę do załatwienia Majewskiemu, byłemu Pełnomocnemu Komisarzowi w Krakowie podczas mego procesu, a bawiącemu obecnie w Paryżu i obiecał zarazem ze swojej strony wszystko zrobić, co do jej zakończenia prowadzić będzie. Waligórski zaś dodał mi z swojej strony: Nie wątpię, że każdy z nich zrobi, co powinien, ale trzeba, żebyś im twardo siedział na karku."

Tej ostatniej rady posłuchał Kaczkowski i nie ustawał w zabiegach. Udał się najprzód do byłego pełnomocnego Komisarza Rządu Nar., Władysława Majewskiego. „Udałem się do niego — pisze — nabity ostro, choćby na awanturę. Ale nie takto łatwo zrobić awanturę z dyplomatami, jak się zdaje. Majewski, obaczywszy mnie, rzucił się ku mnie z uściskami i ubolewaniami. Na początek rozmowy zapewnił mnie z swojej strony, że on osobiście i był i jest przekonany, że ja ani winien, ani mogłem być winien. Cały ten proces nie ma sensu, ale dziwnemi poszedł drogami. Opowiedział mi zatem cały bieg tej sprawy, przyczem wiele nowych dowiedziałem się rzeczy. I tak n. p. Rząd Nar. od samego początku i potem jeszcze długo miał sam przekonanie, że ja nie mogę być winien. Pan stałeś — powiadał mi Majewski — w opinii Rządu Nar. tak czysto i tak wysoko i nienawiść pewnej partyi we Lwowie ku Panu była Rządowi Nar. tak dokładnie znajoma, iż mimo niezliczonego mnóstwa oskarżeń przeciwko Panu przysłanych i urzędowemi i prywatnemi drogami, jeszcze aż do przyjazdu Pańskiego do Lwowa wydawał rozkazy, ażeby tę sprawę jak najgruntowniej zbadać, winnych tej intrygi ukarać, a Pana jak najsolenniej uniewinnić. Ale nareszcie nazbierało się tyle prywatnych od znanych patriotów ze Lwowa przeciwko Panu oskarżeń, że Rząd nareszcie wydał rozkaz zadośćuczynienia tej opinii i w razie uznania winy, jak najsurowszego ukarania. — Majewski powiada dalej, że to on wpłynął na to, ażeby kara nie bardzo surowo wypadła, ale przyznaje, że kiedy go zawiadomiono, że wydano tylko wyrok banicyi, niezmiernie się zadziwił. Jest w tem sprzeczność.

„Po zapadnięciu wyroku — pisze w dalszym ciągu Kaczkowski, — Majewski dostał okrutnego nosa od Rządu (o czem wiem i skądinąd), dlaczego mnie nie skazano na śmierć? Kiedy się usprawiedliwił i posłał Rządowi Nar. mój list, napisany do Naczelnika po otrzymaniu wyroku, znów dostał nosa, dlaczego Sąd nie był formalny? dlaczego mnie nie wysłuchano? dlaczego nie wyjaśniono czynu występku? dlaczego nie wyrobiono motywowanego wyroku? i t. d. Zarazem Rząd spytał, co się ze mną dzieje i gdzie się obracam? — a po wniesieniu mojego rekursu, Rząd wyrok lwowski skasował. Zgoła ślicznie się sprawują te Rządy i Sądy: dziś śmierć, jutro banicya, a pojutrze i banicya za dużo. Koniec tego wszystkiego na teraz taki, że Majewski zapewnił mnie najsolenniej: iż do niczego się więcej nie poczuwa, jak do zakończenia tej sprawy i zrobienia wszystkiego, ażebym jak najsolenniej został uniewinniony, — to jest jego przekonanie.“

Sprawa stanęła jednak na martwym punkcie. Ks. Adama Sapiehy nie było w Paryżu; nie był także tam obecny ów „Szczęsny“ (Sokołowski, recte Karpiński), który, jako naczelnik okręgu lwowskiego, przewodniczył w lwowskim Sądzie i głosem swoim przeważył szalę na niekorzyść Kaczkowskiego; wreszcie Majewski nie otrzymał był nawet jeszcze urzędowego zawiadomienia o skasowaniu wyroku i nie został oficyalnie upoważniony do dalszego prowadzenia sprawy.

Wprawdzie osobiście Majewski upewniał Kaczkowskiego o swej najlepszej woli i wyrażał przekonanie, że wszystkie podniesione przeciw niemu oskarżenia nie mają „ani związku, ani dostatecznej podstawy“. Nie wierzy w to, aby Kaczkowski mógł dopuścić się zdrady, „bo — powtarzał — w takim razie ja pierwszy byłbym poszedł do kozy“, przyczem zobowiązywał się dać o tem Sądowi świadectwo. W tem jednak była cała trudność, że ów Sąd w żaden sposób zebrać się nie mógł i wszystko kończyło się na pięknych słówkach i obietnicach, przyczem nie brakło oskarżeń i insynuacyj względem innych osób. — „Przyznam Ci się — pisze Kaczkowski, — że częścią w skutek tego, co powychodziło na jaw przy moim procesie, a częścią tego, co tutaj codziennie słyszę i widzę, takie mam do wszystkich podobnych rzeczy obrzydzenie, jak do trucizny.“ I on, który nawet w późniejszych latach był apologetą działań spiskowych i od wczesnej młodości brał w nich udział, wyznaje w tym liście otwarcie: „To są owoce naszych konspiracyi. Jeżeli jeszcze 50 lat pokonspirujemy, to potem i cud Boski z nas narodu nie stworzy.“ — „My jesteśmy — powiada dalej. —

jak ziemia. leżąca na około wypalonego wulkanu. Wulkan ten jeszcze czasem wybucha płomieniem, chciałby swe wnętrze rozsadzić i znowu na wierzch wydobyć zalane lawą miasta i osady; ale napróżno, bo wyrzuca z siebie tylko spalone kamienie i popiół i jeszcze głębiej je zakopuje. Kiedyś, jak jego ognie wewnętrzne całkiem wygasną, ziemia około ochłódnie, popioły i kamienie zwietrzeją i zamienią się w ziemię rodzajną, może tam znowu zazielenią się łany i nowe pobudują się miasta i pracą powolną nowa i może piękna, a może nawet i wielka się wybuduje Ojczyzna, — ale że wulkanicznemi ogniami jej na wierzch nie wysadzimy z pod gruzów, to pewna."

Większa część tego listu, równie jak list następny z 17 i 18 maja[1], zajęte są rozważaniem polityki francuskiej i w ogóle europejskiej względem powstania i sprawy polskiej, oraz krytyką, nieraz bardzo ujemną, działalności emigracyjnej ks. Adama Sapiehy na stanowisku reprezentanta Rządu Nar. w Paryżu. Rozważania te i uwagi, nie pozbawione interesu, musimy wszakże opuścić, jako nie należące bezpośrednio do naszego przedmiotu. — To jedno zaznaczymy mimochodem, że właśnie w tym czasie Sapieha wyjeżdżał do Drezna na zjazd „wszystkich teraźniejszych — jak z pewną ironią zaznacza Kaczkowski — opiekunów i zbawców Ojczyzny". Postanowiono tam „utrzymywać powstanie do końca", a Sapieha powrócił ztamtąd w połowie maja w „złotym humorze". „Środków — mówił — będzie aż nadto, sprawa polska stoi jak najlepiej, widoków bez końca".

Ale nie łatwo przyszło Kaczkowskiemu dotrzeć do Sapiehy. Łatwo natomiast pojąć, jak go to niecierpliwiło. „Jeśli z jakichkolwiek powodów go nie obaczę — pisał do Smarzewskiego, — albo nie otrzymam zapewnienia, że sprawę moją weźmie w rękę i zakończy, to biorę po prostu za łeb Majewskiego. Wezwał mnie przed Sąd, więc niech mnie przed Sąd postawi — a jeśli nie postawi, to sprawa jest osobista. Diabliż mnie do tego, że ich wielcy ludzie, uciekając z kraju, pogubili akta po drodze — to ich rzecz, nie moja."

Dopiero d. 8 lipca 1864 r. ks. Adam Sapieha, jako Komisarz pełnomocny Rządu Nar. we Francyi i Anglii, przesyłając Karolowi Ruprechtowi odpis pisma Rządu Nar. w Warszawie, kasującego wyrok lwowski, dodał od siebie:

---

[1]) Ze zbiorów Tadeusza Smarzewskiego. Ms.

„Ponieważ Wy, Obywatelu, mocą tej odezwy mianowani zostaliście Prokuratorem Rządu Narodowego w tej sprawie, wzywam Was, abyście zajęli się jej przeprowadzeniem, — poprzednio jednak proszę osobiście skomunikować się ze mną, oraz z Obywatelem Wacławem Przybylskim, który appellacyę Kaczkowskiego i inne dowody tej sprawy dotyczące Wam dostarczy.

„Pozdrowienie i braterstwo"

Pieczęć komisarska i podpis: *A. Sapicha.*

Dokumentów procesowych odnaleźć jednak nie było można. Według późniejszych doniesień dzienników emigracyjnych [1]) „w skutek ogłoszenia stanu oblężenia w Galicyi, prawie wszystkie władze narodowe albo się dostały w ręce austryackie, albo się rozpierzchły za granicę, dlatego, pomimo najusilniejszych starań kilku ludzi dobrej woli, nic a nic znaleźć nie było można".

Tak twierdził Wacław Przybylski, nadzwyczajny Komisarz Rządu Narodowego, któremu zlecone było złożenie Sądu w sprawie Kaczkowskiego. Dnia 11 czerwca 1864 r. wydał on polecenie Naczelnikowi Okręgu Krakowskiego, „aby się skomunikował z Naczelnikiem Okręgu Lwowskiego, lub z kimkolwiek, kto tam władzę tegoż Naczelnika reprezentuje, o dowody i akta w sprawie Zygmunta Kaczkowskiego, gdyż stosownie do rozkazu Rządu Narodowego sprawa ta w Paryżu powtórnie ma być sądzoną". [2]) Ale i to polecenie nie odniosło żadnego skutku. — Kaczkowski, w liście do Seweryna Smarzewskiego z d. 17 września 1864 r. [3]), twierdzi, że ów „Szczęsny" (Sokołowski, recte Karpiński), który decydującą rolę, jako Naczelnik Okręgu Lwowskiego, odegrał w procesie, poniszczył akta procesowe, „umykając ze Lwowa". — Bądź co bądź, Sąd bez dokumentów odbyć się nie mógł i zaledwie odszukano reskrypt Rządu Nar. w Warszawie, w którym tenże nakazując odbycie Sądu w Paryżu, mianował prezesem Sądu Przybylskiego, a prokuratorem Ruprechta.

Pomimo tych trudności Kaczkowski nie ustawał w zabiegach. Gdy po ustąpieniu Sapiehy stanowisko jego zajęli Kurzyna i Guttry, natychmiast udał się do nich i „znalazł u nich usposobienie najlepsze, przekonanie osobiste o nim nie zostawiające żadnej wątpliwości, a nawet jak najlepszą chęć zakończenia sprawy".

---

[1]) „Wytrwałość", wychodząca w Brukseli, z d. 17 stycznia 1865, Nr. 17. Był to organ Rządu Nar., resp. organ Kurzyny.

[2]) Ze zbiorów rapperswilskich. Akt urzędowy. Ms.

[3]) Ze zbiorów Tadeusza Smarzewskiego. Ms.

Chęci może były najlepsze, ale skutek jak przedtem — żaden. „Szczęsny — pisze Kaczkowski. — chociaż już po to tutaj urzędownie wzywany, Paryża szczególnie unika, Majewski i Przybylski obiecują dać tylko wyjaśnienia, a nikt inny z oskarżeniami, ani nawet Ruprecht jako prokurator, występować nie chce.“

W obec takiego stanu rzeczy Kaczkowski zażądał, ażeby mu Pełnomocnik Rządu Nar. w Paryżu dał poświadczenie, że wyrok, wydany na niego, nie istnieje, i aby ten dokument został ogłoszony publicznie. Zrazu Kurzyna przystał na to, lecz niebawem po namyśle uznał taki krok za „niebezpieczny“ i przedstawił natomiast trzy propozycye: 1. Albo wyda mu reskrypt Rządu Nar., pozwalając mu robić z nim, co się podoba: 2. albo odwoła się z całą tą sprawą jeszcze raz do Rządu Nar. w Warszawie, ażeby ją sam Rząd Nar. w jakiś inny sposób zrezolwował; 3. albo wreszcie przeniesie całą tę sprawę napowrót do Lwowa i każe Władzom tamtejszym nowy Sąd zwołać i ostatecznie rozstrzygnąć. — Kaczkowski wszystkie te propozycye odrzucił i odpowiedział Kurzynie: „Ja się trzymam litery reskryptu. Kiedy Przybylski jest mianowany Prezesem Sądu, zamianuj Pan resztę członków Sądu, Ruprecht niech stanie jako Prokurator i niech się ten Sąd ukonstytuuje. Czy ten Sąd sprawę osądzi, czy od oskarżenia przeciw mnie odstąpi, czy wyda tylko ogólne jakieś zdanie, zawsze coś zrobić musi — a co zrobi, to się ogłosi.“ — Kurzyna przystał na to, ale Kaczkowski nie miał już nadziei, żeby się coś na tej drodze zrobić dało. Decydował się już nawet przyjąć trzecią propozycyę Kurzyny i jechać na ponowny Sąd do Lwowa. Myśl ta pociągała go nawet, bo, jak pisał, zależało mu już tylko na Lwowie i na Galicyi. Do Królestwa bowiem i dalszych prowincyj doszły tylko o tej sprawie „słabe i głuche wieści“, które nie mogły podkopać tej reputacyi, „na jaką lat kilkanaście pracował i zdobył sobie faktami. W Poznańskiem nikt o tem nic nie wie. W Paryżu zaś ani cienia niedowierzania, czy też nieufności“ Kaczkowski nie dostrzegał. Wybrałby więc chętnie Lwów na miejsce Sądu, szło mu tylko o zapewnienie, że nie znajdzie tam takiego samego usposobienia, jak dawniej, i czy nowe nie zaczną się przeciw niemu intrygi, tembardziej, że teraz w tę sprawę musiałby być wmieszany jeszcze kto inny, przeciwko któremu, podobne jak przeciw Kaczkowskiemu, poszły do Warszawy oskarżenia. Kaczkowski, w liście do Smarzewskiego, wymienia wyraźnie tę osobę po nazwisku, a z tonu tego i innych listów wynika, że sam podziela podejrzenia, w tę stronę skierowane, i z tego powodu lęka się jeszcze zwiększonych intryg

na gruncie lwowskim. — Kurzyna, na zapytanie Kaczkowskiego. czy ręczy za swoich ludzi we Lwowie, „że tę sprawę przeprowadzą porządnie i że jej znowu nie użyją jako środka agitacyi“, odpowiedział wymijająco. W obec tego Kaczkowski prosi Smarzewskiego o wypowiedzenie swego zdania, czy ma przyjechać do Lwowa. czy nie.

Z następnego listu Kaczkowskiego do Smarzewskiego, z dnia 18 listopada 1864 r., wynika. że zarówno Smarzewski. jak i inni, o radę pytani, nie zalecali tej podróży do Lwowa; Smarzewski nawet był zdania, że należy dać pokój tej sprawie, na co znów Kaczkowsk się nie zgadzał i postanowił „nie dać spokoju i mordować koniecznie dalej tych Panów, ażeby coś z tem zrobili“.

Były też rozmaite projekty, a przedewszystkiem ten, by sprawę poruszyć w polskich dziennikach emigracyjnych i wywołać polemikę. I rzeczywiście, dnia 11 grudnia 1864 r. ukazał się w „Wytrwałości“, nr. 9, organie Rządu Nar., artykuł, który omawiając sprawę Kaczkowskiego i wyrok, wydany we Lwowie, a skasowany przez warszawski Rząd Narodowy, całą winę za przewlekanie i nierozstrzygnięcie tej sprawy w Paryżu zwala na Przybylskiego i ks. Adama Sapiehę, „którzy składając jeden drugiemu, a następnie dzisiejszemu Reprezentantowi Pełnomocnikowi Rządu Narodowego powierzoną im władzę“, powinni byli złożyć także „podstawy i instrukcye, mogące posłużyć do nowego podniesienia tej sprawy i odbycia formalnego sądu“. „Widać jednakże — zaznacza „Wytrwałość“. — iż sprawę chciano puścić w niepamięć, gdyż oprócz reskryptu Rządu Narodowego (kasującego wyrok lwowski), nic więcej nie złożono, tak, że dzisiejszy Reprezentant Rzadu (Kurzyna), mimo najusilniejszych p. Kaczkowskiego nalegań i najlepszej chęci z swej strony, był zmuszony pozostawić sprawę do rozsądzenia na miejscu, zaś p. Kaczkowskiemu doręczyć tylko kasujący wyrok lwowski reskrypt Rządu Narodowego w oryginale i na mocy tego reskryptu wydać pasport, dozwalający powrotu do kraju.“

„Pasport“ ten, wydany na papierze ze stampilią: „Reprezentant Pełnomocnik Rządu Narodowego“ brzmi:

„Paryż, d. 6 grudnia 1864.

„Na mocy dekretu Rządu Narodowego z dnia 5 lipca 1864, jako też z uwagi na reskrypt tegoż Rządu z dnia 29 lutego b. r. dozwala się niniejszem Ob. Zygmuntowi Kaczkowskiemu powrót wolny do kraju, z zastrzeżeniem, ażeby się stawił na pierw-

sze zawezwanie władz narodowych do procesu, reskryptem wyżej powołanym z dnia 29 listopada (sic!) 1864 zarządzonego.

Pieczęć Reprezentanta Rządu Nar. i podpis: *J. Kurzyna.*" [1])

Artykuł „Wytrwałości" nie zupełnie dogodził Kaczkowskiemu. „Nie jest on taki — pisze do Seweryna Smarzewskiego [2]), — jakiegobym sobie życzył, bo kwestyi radykalnie nie rozstrzyga, ale zawsze ogłasza: 1-o. że wyrok lwowski został skasowany, o czem nie każdy wiedział, a niejeden wiedzieć nie chciał, — a 2-o, że jeżeli Sąd nie został zwołany, to nie z mojej winy, tylko z winy tych władz, którym to zrobić nakazano. Nakoniec konstatuje, że wolno mi jest legalnie powrócić do kraju. Zawsze to tedy jest coś — zawsze to jest dla ludzi dobrej wiary zakończenie tej sprawy takie, jakie w tych warunkach było możebne, — a dla ludzi złej wiary jest przynajmniej dowodem, iż wyrok lwowski został skasowany i że ja robiłem wszystko z mej strony, aby sprawa ta została radykalnie załatwiona."

Kaczkowski postarał się też o to, że ten numer „Wytrwałości" przesłano w licznych egzemplarzach do Galicyi, — sprawy jednak nie uważał za skończoną. „Zawsze jeszcze ta nieszczęśliwa sprawa moja mnie najwięcej zajmuje" — pisze do Smarzewskiego d. 28 grudnia [3]), — a nie mogła nawet przestać go zajmować, albowiem artykuł „Wytrwałości" wywołał polemikę. W odpowiedzi na zaczepkę „Wytrwałości", wymierzoną przeciw Przybylskiemu i Sapieże, wystąpił „Głos Wolny" z atakiem na Kurzynę, zarzucając, że jest bezsensem odsyłać teraz jakąś sprawę do Władz krajowych, obecnie nie istniejących, a zawsze w tej mianowicie sprawie o stronniczość podejrzanych. — Polemika ta — jak w dalszym ciągu tego listu zaznacza Kaczkowski — „narobiła tu trochę złej krwi, ale dziś przy takiem rozdrażnieniu i nieukontentowaniu, jakie panuje w emigracyi, niepodobna jest wymódz na nikim dwóch słów takich, w którychby się nie odezwało oskarżenie lub podejrzywanie kogoś drugiego. Mimo to jednak, te wzajemne cierpkości nie obróciły się z żadnej strony przeciw mnie. Jest to już dosyć trzeźwości i, że tak powiem, dosyć poszanowania dla zasłużonej przeszłości, — a raczej, wielkości nowe, w ostatniem powstaniu wyrosłe, już do tyla zmalały, a dawne i rzeczywiste zasługi już

[1]) Zbiór Bibl. Ossol., Nr. 4820.

[2]) List z d. 16 grudnia 1864 r. Ze zbiorów Tadeusza Smarzewskiego. Ms.

[3]) Ze zbiorów Tadeusza Smarzewskiego. Ms.

o tyle znów wydobyły się na wierzch, — że nikt nie śmie dawać wiary oskarżeniom patriotów wczorajszych przeciwko człowiekowi, znanemu z patriotyzmu od lat prawie dwudziestu i mającemu jakakolwiek podstawę istnienia swego w społeczeństwie. *Somme faite*, artykuły te poruszyły tutaj tę skandaliczną historyę na nowo i wydobyły za sobą tysiące plotek, ale zawsze dla mnie jak najkorzystniejsze zrobiły wrażenie, bo ogłosiły najpierw, że wyrok nie istnieje, a powtóre, że nawet najczerwieńsi w istotę winy mojej nie wierzą. Najniechętniejsi nawet, a raczej najzłośliwsi, podnosząc ten fakt, że taki „bialissimus", jak ja, potrafił zniewolić dwa najczerwieńsze ogniska do wystąpienia za sobą, robią uwagę: Trzeba mu przyznać, że mu przynajmniej zręczności nie braknie." — „Zgoła — dodaje wreszcie Kaczkowski — już nic więcej robić nie trzeba, bo nic się zrobić nie da, prócz tego, co może i zrobić powinno dalsze zachowanie się moje."

Na tem właściwie skończyła się, a raczej „rozlazła się", ta smutna sprawa.

Echa jej wszakże odbijały się jeszcze czas dłuższy w polemice „Wytrwałości" z pismem, wychodzącem w Bendlikonie, p. t. „Ojczyzna", które wzięło w obronę Wacława Przybylskiego i zamieściło obszerne jego pismo z usprawiedliwieniem postępowania w sprawie Kaczkowskiego. Polemika ta, prowadzona w ostrych wyrazach, nie rzuca jednak nowego światła na samą sprawę, która odtąd na czas dłuższy przycichła, pozostawiając Kaczkowskiemu myśl swobodniejszą i czas wolny do pracy na polu publicystycznem.

Zaznaczyliśmy już powyżej, że głośny autor powieści Nieczujowskich postanowił na gruncie paryskim przerzucić się stanowczo na pole dziennikarskie, na którem spodziewał się moralnego, a zwłaszcza materyalnego sukcesu. W listach do Seweryna Smarzewskiego [1]) zaznacza też, że „egzystencyę w Paryżu ma jakąkolwiek. Cała literatura i pieniądze przeznaczone, a raczej dostępne dla pisarzy, przeniosły się głównie do dzienników. Kto ma tu jakiekolwiek relacye, a do tego włada kilkoma językami, nie może być nigdy o to w kłopocie, z czego żyć będzie". „Ja — dodaje — mam roboty dosyć, nietylko dla siebie, ale od czasu do czasu zawsze mam jeszcze coś do rozdania drugim. Jeżelibym się zdecydował tu zostać, mam stanowisko już otwarte i każdego czasu do

[1]) z d. 17 i 18 września 1864 r. Ze zbiorów Tadeusza Smarzewskiego. Ms.

objęcia, na którem będę miał egzystencyę moralną bardzo przyzwoitą i więcej dochodu. niżeli koniecznie potrzebuję na życie. Przynajmniej więc to mnie nie dociska.“

Mimo to myślał ciągle o wystąpieniu na polu literackiem we Francyi. W tym celu przygotowywał do druku swego „Rozbitka“, ściśnionego w tom jeden. „Przebić się na wierzch — pisze — przez ten nawał sław literackich tutejszych, rzecz ledwie podobna, ale będę próbował.“ Więcej jednak sukcesu obiecywali mu Francuzi, których rady zasięgał. po opracowaniu francuskiem „Kobiety w Polsce“. bo, jak mówili, teraz właśnie i Kobieta i Polska są w modzie... Do uskutecznienia jednak tych literackich planów nie przyszło i w połowie listopada Kaczkowski pojechał znów do Londynu, nie tylko w celu agitacyi w swojej sprawie procesowej, ale i dla przypatrzenia się tamtejszemu dziennikarstwu. Od Nowego Roku 1865 postanowił też uregulować swoją pracę dziennikarską. „Książek — pisze do Smarzewskiego [1] — niema jeszcze pisać dla kogo. Cały świat czyta dziś tylko dzienniki i tylko one płacą. Stąd mam w tych dniach dużo zatrudnienia. Jak się to ureguluje, będę nieco swobodniejszym. Robotę tę chcę tak urządzić, jak gdybym tu miał zostać na długo, ale myślę ciągle o powrocie, a w każdym razie przynajmniej o przyjeździe do Lwowa na jakie kilka tygodni. Interesa moje, zostawione przez Rodakowskiego w dziwnych kontumacyach, wymagają tego koniecznie, inaczej nic nie wyratuję. Sadzę, że może będę mógł przyjechać w lutym.“

Tymczasem zaczął pisywać korespondencye z Paryża do krakowskiego „Czasu“, korespondencye zrazu dość blade, którym też z tego powodu Smarzewski, domyśliwszy się autora, czynił zarzuty. W myśl Smarzewskiego wskazówek, zaczął Kaczkowski pisać śmielej, czy ostrzej. „Spróbowałem — donosi mu — napisać kilka listów takich, o jakich wspomniałeś, ale mi ich nie wydrukowali. W innych listach wykreślają wiele, łagodzą wyrażenia, a nawet i przymiotnikom czasem nie przepuszczają. Ich ideałem. jak i całego dziennikarstwa, jak i całej literatury obecnej, jest takt i przyzwoitość. Kto tą drogą dzisiaj nie idzie, nigdzie nie zajdzie. Taki jest wiek, taki duch czasu: reakcya od extrawagancyi rewolucyi francuskiej i literatury romantycznej, która dziś doszła do zupełnej bezbarwności, indyferentyzmu, a pod wielu względami nawet do indolencyi.[2])

---

[1]) List z d. 28 grudnia 1864. Ze zbiorów T. Smarzewskiego. Ms.

[2]) List do Seweryna Smarzewskiego z dnia 18 lutego 1865 r. Ze zbiorów Tadeusza Smarzewskiego. Ms.

W tych warunkach owo korespondowanie do „Czasu“ nie mogło trwać długo. Przerwało się ono po pół roku, już od 1 lipca 1865 r., o czem Kaczkowski doniósł Sewerynowi Smarzewskiemu w liście z 18 lipca, przytaczając wszakże, jako powód zerwania, trudności natury finansowej. „Jaki to zawód dla mnie — skarży się, — który płacę gotowemi pieniędzmi za komunikacyę, bo biegać nie mogę za niemi... Dla „Czasu“ — dodaje — pisałem daleko taniej, niż dla wszystkich innych i posyłałem im mnóstwo komunikacyi takich, za które „Indépendance“ i „Kölnische Zeitung“ bardzo drogo płacą.“

Oprócz do „Czasu“ pisywał wówczas Kaczkowski także do „Gazety Polskiej“ w Warszawie i do wiedeńskiego dziennika „Die Debatte“. „Prócz tego — donosi Smarzewskiemu — mam jeszcze kilka dzienników, do których tylko wtedy piszę, kiedy mam jakąś lepszą wiadomość, a oprócz tego listy polityczne sytuacyjne i feuilletony. Mam z tego pieniężnie więcej, niż potrzebuję na życie.“ Stosunek jednak z owym dziennikiem wiedeńskim także niebawem przerwany został i także z powodów materyalnych. Pomimo tego Kaczkowski nie tracił otuchy. „Mnie zresztą teraz — pisał — zaczynają się tutaj otwierać realne widoki. — Żyjąc w kołach dziennikarskich i korespondenckich, które tu mają pewne znaczenie, doprowadziłem do tego, że jestem już znany i uważany. Mam już tedy propozycyi bez końca. Ale zachowuję się względem nich według mojej starej metody: albo coś, albo nic, i propozycye takie, któreby mi mogły przynosić po parę, a czasem i po kilkaset franków miesięcznie, z góry odrzucam, chociaż nieraz dużo mnie to kosztuje. Ale inaczej nie można, jeżeli się chce coś lepszego osiągnąć. To też teraz chce mi już Tański swoją spółkę odstąpić. Tański, dawny redaktor w „Journal des Débats“ [1]), od czasu, jak wystąpił z Debatów, a wszedł w osobiste stosunki z Orleanami i Rotszyldami, zrobił na korespondencyach majątek i znaczny majątek, bo ma dziś z samych kapitałów przeszło 40.000 dochodu. Teraz zestarzawszy się i mając dosyć zajęcia w innych kierunkach, oddałby to darmo, czego sprzedać nie może, byle znalazł kogoś, którzyby tego nie obrócił na jego szkodę i przy którymby mógł, że tak powiem, jeszcze bicze kręcić dla siebie. Prócz tego założony

[1]) Józef Tański, publicysta francuski; za młodu przed r. 1831 służył w wojsku polskiem, później kapitan w legii zagranicznej w służbie francuskiej i hiszpańskiej. Wydał wiele broszur politycznych w języku francuskim oraz większe dzieło o stosunkach w Hiszpanii.

został temi czasy nowy dziennik w Londynie, który się tutaj już teraz na mnie opiera, — a który rozszerzywszy swe przedsiębiorstwo, będzie miał tutaj taką do obsadzenia pozycyę, jaką ma O'Meara z ramienia „Times'a“ w Paryżu, a Russel we Włoszech. Wszystko to są przedsiębiorstwa, które obracają milionami i których pełnomocnicy mają nietylko pieniężnie korzystną, ale i polityczną pozycyę... Ale nie łatwo o to dla każdego, a jeszcze daleko trudniej dla Polaka... Nie prędko też takie rzeczy się robią. Ale nie mając nic lepszego do czynienia, cóż szkodzi próbować? Nie smakuje mi to wszystko do najwyższego stopnia: wolałbym w Polsce mieszkać pod dachem, niżeli tutaj w salonach, — ale jeżeli nie będzie można tak wrócić do Polski, jak trzeba, to zawsze dobrze urządzić się tak za granicą, ażeby nie mieszkać pod dachem.“

Prowadził tymczasem życie — jak się sam przed Smarzewskim użala — „nadzwyczajnie jednostajne i nudne“. Najbliżej żył z Chońskim [1]), z Zygmuntem Jordanem i jeszcze kilkoma tylko Polakami tego rodzaju, „bo to jest inteligencya, która i w czasie reakcyi nie głupieje“. „Na tamtej stronie wody — pisze — bywam bardzo rzadko, bo to daleko — ale u mnie bywa tego dużo i wszystko, co lepsi: ale lepiej, zaprawdę, by nie widywać tych ludzi, takie to wszystko martwe i takie bezmyślne... Dość powiedzieć — dodaje, — że z całej tylotysięcznej emigracyi, w której znajduje się tylu Członków Rządu Nar. i komisarzy, tylu pułkowników i jenerałów, dotychczas jeszcze a n i j e d e n nie dostał takiego miejsca, na którem pracuje się głową. Najlepsze miejsce dostał Różycki przy kolei, za 1500 franków rocznie — i kopiuje regestra.“

Echa skandalicznego procesu lwowskiego tymczasem ciechły. „Już nie biją teraz w ten proces o zdradę kraju — pisze w jednym liście do Seweryna Smarzewskiego, — tylko wywlekają a raczej przyczepiają do mnie rozmaite anegdoty z przeszłości. Głupstwo to wszystko — nic mnie to nie szkodzi, dopóki siedzę cicho i w ciasnych obracam się kołach. Lecz gdybym głowę wystawił wyżej i tu chciałbym się przebić, co może spróbuję, to kto wie, czy przebrnę przez te sieci i zastawki, bo to zasnute bardzo wysoko, a niemasz środka, ktoregoby nie użyto tajemnie.“

---

[1]) Choński Henryk, publicysta ekonomiczny. Naturalizował się we Francyi; w Paryżu zajmował posadę w ministerstwie handlu i rolnictwa.

W obec tego zastępu nieprzyjaciół napada go chwilami rozpacz.

„Przychodzi mi na myśl — pisze — usunąć się całkiem z oczu tym ludziom, zrzucić z siebie frak i rękawiczki, ubrać się w chłopską sukmanę i zamknąć się z książkami i z samym sobą w jakimś żywym grobie na zawsze.“

A przecież ani sił, ani odwagi jeszcze mu nie braknie.

„Morduję się z tym milionowym zastępem bez odetchnienia i dźwigam ten ciężar olbrzymi sam jeden na swoich barkach. Jak Dant za życia przechodzę przez piekło i jeszcze się ani na chwilę nogi nie zachwiały podemną. Gdzieby tysiące już były upadły, ja stoję — i jeszcze tu i ówdzie zwyciężam.“

I znowu ogarnia go zniechęcenie:

„Ale czego ja się dobiję? — pyta. — Prędzej lub później w tych drobnostkowych walkach muszę się zetrzeć. Przynajmniej bić się muszę do śmierci, — a im skuteczniej się bić będę dla siebie, tem więcej będę miał przeciwników i kto wie, ażali ich kiedy choćby pod koniec życia zwyciężę. Ustąpiwszy zaś z tej pogańskiej areny, przynajmniej choć spokojnie resztę życia przeżyję, może jeszcze niejedną pożyteczną książkę napiszę i może choć przed grobem powiedzą o mnie: że może była w nim krew za gorąca, umysł niesforny, duch buntowniczy, ale miał zawsze dobrą wiarę i wolę, nie zrobił nikomu nic złego, a co po nim zostało, to przyniosło pożytek. Ta myśl już mi się coraz częściej powtarza, ale tymczasem jeszcze się dalej bić będę, jeszcze obaczymy.“

Tak ciągle z krańcowego zniechęcenia wpadał w ferwor wojowniczy, a pasowanie się tego bądź co bądź niepospolitego umysłu, w wyjątkowych okolicznościach, stanowi w każdym razie ciekawy przedmiot do psychologicznego studyum. Wśród tych wahań się i niepewności marzył nieustannie Kaczkowski o powrocie do kraju, do Lwowa. W tym celu gotów był nawet do zawarcia kompromisu z tym, którego za najbardziej zaciętego swego wroga uważał, z Dobrzańskim.

„Nie mylisz się — pisał do Smarzewskiego, — gdy przypuszczasz, że Dobrzański przeciw mnie nie wystąpi. Ja mam nawet powody przypuszczać, że mógłby odezwać się za mną.“ — Przez zaufanych starał się też zbadać sytuacyę: „czy warto jest, aby Dobrzański coś za mną powiedział i czy możnaby go do tego skłonić bezpośrednio we Lwowie.“ — „Źleśmy zrobili — dodaje — kochany Sewerynie, żeśmy od razu, podczas mego pobytu we Lwowie, nie rzucili się na tę drogę. Złe zabić w źródle. Przypomnisz

sobie, że miałem tę myśl; miałem i ufność, że się to uda. Tylko nie miałem dość stanowczości.“

Równocześnie snuje mu się po głowie myśl podjęcia na nowo wydawnictwa „Głosu“ we Lwowie, lub rozpoczęcia wydawania jakiegoś innego, mniejszego pisma. Z tą myślą dzieli się ze Smarzewskim, prosząc go o radę:

„Jest tu — pisze — małe gronko ludzi, które mnie namawia, ażebym ze względu na wszystkie nieprzyjazne okoliczności wrócił teraz do kraju i podniósł „Głos“ na nowo. Myśl ta w części swej materialnej nie byłaby może tak trudną do wykonania, jak się zdaje na pierwszy rzut oka. Funduszów na to, po zrobionych i w kraju i za granicą doświadczeniach, potrzebaby mieć daleko mniej, i te mogłyby się znaleść; stosunki, jakie mam teraz i tu i w Anglii i w Niemczech, ułatwiłyby mnie nadzwyczajnie i moralne i materialne zadanie — a przeto mógłbym się śmiało konkurencyi galicyjskich dzienników wcale nie obawiać. Zgoła co do prowadzenia dziennika tak pod względem politycznym, jak ekonomicznym, byłbym teraz pewnym siebie zupełnie. Lecz ja się na tę kwestyę zapatruję zupełnie inaczej, bo zdaje mi się, że trudność największa leżałaby właśnie w tem, co tu wszyscy lekceważą, to jest w niechęciach i uprzedzeniach przeciw mojej osobie. Postawiwszy dziennik tak, jak żaden z dzienników galicyjskich dzisiaj nie stoi, wystąpiwszy z tem, z czem żaden z nich nie występuje, a coby było z niewątpliwym pożytkiem dla kraju, mając zresztą jakiekolwiek pióro w ręku, a mając do walczenia z osłabionymi na teraz bardzo znacznie przeciwnikami, prędzej lub później przebiłbym się z pewnością, — przebicie się takie jest zresztą dla mnie jedyną drogą do odzyskania egzystencyi publicznej, — lecz jestem zdania, iż to przebicie się osobiste jest także trudnością samą w sobie, że z nią trudności tej, jaka jest postawienie codziennego politycznego dziennika we Lwowie znowuż samo w sobie, skumulować nie można. Możnaby i to zrobić, ale tylko natenczas, gdybym miał swoich kilkadziesiąt tysięcy do dyspozycyi, albo oparcie na kilkunastu przynajmniej ludziach, mających w kraju znaczenie, o czem jednak ani myśleć nie można. Mogąc zaś w najlepszym razie mieć tylko tyle, ile koniecznie potrzeba do rozpoczęcia, mogłaby agitacya, przeciw mnie podniecona, choćby nawet i słaba, dłuższy mieć oddech, niżeli moja siła materialna, a z nią i moralna. Na taką walkę puściłbym się sam jeden z jakimś tygodniowym polityczno-literackim, a w gruncie krytycznym dziennikiem, o którym mi się coś marzy: ale i to, pomimo licznej zachęty,

ażebym głos zabrał, jeszcze na dzisiaj nie jest dla mnie kwestya. W każdym jednakże razie wielką mi zrobisz przysługę, jeżeli mi coś *à propos* tych myśli, rozumie się bez ogródki, napiszesz.“ [1])

Wszystkie te plany i projekty nie przyszły do skutku i Kaczkowski pozostał na bruku paryskim, targany od czasu do czasu odnawiającemi się jeszcze ciągle echami lwowskiego procesu.

W początkach r. 1866 postanowił coś stanowczego przedsięwziąć, „przyłożyć — jak się w liście z d. 9 stycznia do Seweryna Smarzewskiego wyraził — jakąś ostatnią pieczęć na tę sprawę, która go wyrzuciła z kolei prac, zajęć myśli, a nawet i z kraju“. „Bardzo liczne głosy — pisze — i stąd i z kraju upomniały się, abym wystąpił publicznie. Niektórzy najlepsi przyjaciele oświadczyli mi otwarcie: Zrobiłeś wszystko, coś był powinien, ale nikt o tem nie wie. Niechętni wiedzieć nie chcą. Milczałeś dotąd z szlachetnych pobudek: nie chciałeś nikogo kompromitować. Ale teraz (w obec ogłoszonej amnestyi) względy te ustały. Trzeba wystąpić. Nawet nieprzyjaciele mówią: Jeżeli niewinny, czemu się nie broni? Na te argumenty nie było co powiedzieć. Zaraz więc po wydaniu amnestyi zasiadłem do biura i napisałem obszerną broszurę, prawie książkę [2]), w której nietylko ten proces, ale całe moje działanie publiczne od r. 1860—1863 opisuję szczegółowo. Wgląd w akta Rządu Nar. i Władz Nar., który mi ułatwili samiż interesowani w tej sprawie, przekonał mnie jeszcze raz i na teraz już dowodnie, że proces ten w głównej istocie swojej był prostym skutkiem tej walki, jaką oddawna prowadzono ze Lwowa przeciwko Sapieże i mnie, — a o której osobliwszych i niesłychanych dowiedziałem się rzeczy. I w tej książce jeszcze nie mogę ich wszystkich wypowiedzieć, bo komunikowano mi je tylko pod tym warunkiem; ale mogę przynajmniej na pewnych podstawach opowiedzieć główny bieg rzeczy. Książka ta jest naturalnie smutną ostatecznością. Rozbieram się w niej do naga. Nie mogę pociągać do odpowiedzialności Xów i Ypsylonów, więc wszyscy, którzy urzędowy udział wzięli w tej sprawie, są wymienieni *nom et prénom*. Ich czynności rozłożone w całej nagości na stole. Niekompetencya

---

[1]) Wszystkie powyższe szczegóły wzięte z listów Z. Kaczkowskiego do Seweryna Smarzewskiego z 26 stycznia, 18 lutego, 6 maja, 27 czerwca, 18 lipca, 28 lipca, 31 sierpnia i 1 września 1865 r. Ze zbiorów Tadeusza Smarzewskiego. Ms.

[2]) „Rewolucyjne sądy i wyroki“. Rzecz osobista, przedstawiona przez Zygmunta Kaczkowskiego. Paryż i Wiedeń 1866. Nakładem autora, str. 87.

sądu dowiedziona ogółowo i osobiście. Sapieha rozdarty na parę kawałków. Rodakowski na szmatki. Stronnictwo czerwone wrzucone w kloakę. ostatni Komitet galicyjski zmasakrowany, — a co najgorsza, to to, że same wypadki przedstawiają to stronnictwo, które jeszcze w ostatnich czasach nazywało się białem, bez porównania brudniejszem od tych, którzy sami tego zaprzeczyć nie mogą, że siedzieli w kałuży.“

Tak się to widocznie piszącemu zdawało. Dziś jednak czytając tę broszurę, trudno dopatrzeć owego rozmachu w „masakrowaniu“, „darciu na kawałki i szmatki“. Przeważa owszem spokój i pewna wstrzemięźliwość, jakby niedomówienie. Kaczkowski zresztą sam przyznaje w dalszym ciągu tego listu, że „książkę tę pisał z jak największą oględnością i z jak największym spokojem“, że „wyrzucił z niej wszystko, co nie jest niezbędnie potrzebnem“. „Ale mimo to — dodaje — jeszcze dosyć zostało, bo, jak mówi Guizot, niemasz nic brutalniejszego, jak fakta. Cała ta rzecz ma na sobie charakter apelacyi od sądów zaocznych i tajnych, odbytych w czasach agitacyi politycznej, do jawnej i spokojnej opinii w czasie spokojnym.“

Nie łudził się jednak i nie oczekiwał orzeczenia tej opinii; wiedział, że o broszurze tej „wszyscy mówić będą niezmiernie wiele, ale nikt nic nie zrobi“. To jednak przekonanie nie powstrzymuje go wcale, chce nareszcie sprawę wyjaśnić, „chce raz z tem skończyć i uzyskać własne uspokojenie“. „Będę wiedział — dodaje, — co mam zrobić z sobą, czy pisać dalej i pracować dla swego kraju, czy przesiedlić się całkiem i szukać sobie gdzieindziej oparcia. Na egzystencyę taką, aby być obcym pomiędzy swoimi, zgodzić się niepodobna nikomu, a tem mniej jeszcze takiemu, który może być łatwo uznanym za swego pomiędzy obcymi, o co mi tutaj nie trudno.“

W kilka dni po napisaniu tego listu wyjechał Kaczkowski do Wiednia, aby tam wydać ową broszurę. Wyszła też ona istotnie w Wiedniu, w drukarni XX. Mechitarystów. W stolicy naddunajskiej zabawił czas dłuższy tak w interesie wydawnictwa swej książki, jak też w interesach dziennikarskich. „Ułożyły się tu (w Paryżu) — pisze — rozmaite dziennikarskie projekty, któreby mogły być przeprowadzone w Wiedniu, a na które już są przygotowane fundusze: idzie tylko o to, ażeby ktoś miejscowość i język dobrze znający, wyrozumiał na gruncie, czy są do przeprowadzenia z korzyścią. Wyniknęłyby stąd także niejakie pożytki dla kraju, o którym — dodaje z goryczą — ja, jako „zdrajca“ mam sobie za obo-

wiązek, nawet przy kwestyach o chleb codzienny nie zapominać. — Na każdy tedy wypadek zabawię kilka tygodni w Wiedniu, — lecz jak książka zostanie wydrukowana, spodziewam się przyjechać do Lwowa.“ [1])

W pierwszych dniach kwietnia, po wyjściu broszury, znalazł się istotnie Kaczkowski na bruku lwowskim. Mamy przed sobą list jego, pisany we Lwowie d. 5 kwietnia do Smarzewskiego, którego tam nie zastał. List niedługi i nie zawierający, niestety, żadnych szczegółów o wrażeniach, doznanych po powrocie do miasta, w którem przeżył tyle chwil, nie zawsze „górnych“, a najczęściej tragicznych. We Lwowie zabawił niedługo, zapewne tylko dla załatwienia najpilniejszych interesów; chciał bowiem wracać w maju do Paryża, a przedtem jeszcze zamierzał objechać „kilka miast większych środkowo-europejskich, aby sobie nabrać trochę więcej dzienników“, to znaczy zapewne pozawierać umowy o korespondencye polityczne z Paryża.

Wspomina też w tym liście o broszurze swojej, która już wyszła z pod prasy. „Zdania o niej — pisze — dziwnie są rozmaite i rozchylone. Od takich, którzy pochwalają wszystko od początku do końca, aż do takich, którzy wszystko potępiają ryczałtem, nie wdając się nawet w szczegóły, znajdziesz wszystkie odcienia, możliwe i niemożliwe, a nawet dziwnie niedorzeczne. To też w ogólności to wszystko, co dotąd słyszę, wcale nie budujące sprawia na mnie wrażenie, bo lubo dziś ludzie sądzą inaczej, niżeli przed dwoma laty, a nawet są tacy, którzy *ex propria diligentia* agitują za mną, jednak jak z jednej strony po staremu nie widzę budzącego się naturalnego uczucia obowiązku sumienia, tak z drugiej także po staremu widzę nie potępianie tego albo owego czynu, tej albo owej z moich wad, albo opinii, tylko ślepą opozycyę przeciwko osobie, wypływająca w gruncie rzeczy z bardzo niskich pobudek. To też ja teraz już tylko — jestem, ażeby odpowiadać, jeżeli mnie ktoś o co zapyta, — a zresztą słucham i milczę.“

W końcu tego listu, pisanego, zdaje się, w dawnem mieszkaniu swojem na Wólce [2]), pociesza się Kaczkowski, „że od dawnego czasu żadna książka nie była tak skwapliwie czytana i nie wpro-

---

[1]) List do Seweryna Smarzewskiego z Paryża d. 9 stycznia 1866. Ze zbiorów Tadeusza Smarzewskiego. Ms.

[2]) W nagłówku listu: Lwów, Wulka 225 1/4

wadziła publiczności w stan takiego kipienia. Niech kipi — jak ochłódnie, może coś przecie zostanie na dnie". [1])

Ten przyjazd do Lwowa w początkach 1866 roku, oprócz załatwienia interesów majątkowych, mógł mieć i miał niewątpliwie inne jeszcze cele. Kaczkowskiemu, jak wiadomo, chodziło o „przebicie się", o odzyskanie pozycyi społecznej w kraju, aby nie być „obcym między swoimi". Takiem tryumfalnem „przebiciem się" byłoby uzyskanie mandatu do Sejmu i Rady Państwa. Nie mówiąc już o planach poselskich z r. 1860, po dwakroć kusił się jeszcze o to Kaczkowski, a po raz pierwszy właśnie w r. 1866. Bo oto, co czytamy w liście jego do pani Ksawerowej Liskowej z d. 12 grudnia 1890 r. [2]): „Badeni, ojciec dzisiejszego Namiestnika, niemało sobie pracy zadawał, aby mnie w Jarosławiu (w r. 1866) przeprowadził, a nawet Stefan Zamoyski dla mnie od kandydatury odstąpił, upadliśmy jednak przy wyborze, bo nie mieliśmy poparcia ze strony komitetów wyborczych." Upadek ten przypisuje Kaczkowski temu, że w komitetach wyborczych panowało przeciw niemu uprzedzenie. „Powiadano o mnie — pisze, — że mam charakter zanadto absolutny, a do tego jeszcze i temperament zanadto porywający, więc mógłbym delegacyę tam zaprowadzić, gdzie ona iść nie chce."

Upadek ten musiał niewątpliwie Kaczkowskiego zaboleć, to też niedługo zabawił we Lwowie, a już w pierwszych dniach maja był w Wenecyi, wybierał się następnie do Florencyi i na audyencyę do króla włoskiego, następnie do Rzymu i Marsylii. Wszędzie tam chciał badać stosunki polityczne i finansowe. Niewątpliwe powodzenie, uzyskane na polu dziennikarskiem, pobudziło żywą zawsze ambicyę Kaczkowskiego. Począł marzyć o uzyskaniu znaczącej i znacznej pozycyi w świecie dyplomatycznym za granicą, straciwszy nadzieję, przynajmniej na razie, zdobycia stanowiska w kraju.

Ze sprawą swego procesu lwowskiego miał nareszcie spokój, a nietylko spokój, lecz nawet pewnego rodzaju zadośćuczynienie, jakie mu sprawił list, otrzymany w chwili, gdy kończył pisanie swej broszury, od b. Pełnomocnego Komisarza Rządu Nar., Żaboklickiego, *recte* Władysława Majewskiego. Z listu tego, wydrukowanego w całości przy końcu broszury [3]), podajemy najważniejsze

[1]) Ze zbiorów Tadeusza Smarzewskiego. Ms.
[2]) Ms. Bibl. Ossolińskich.
[3]) str. 82, 83.

wyjątki. Otóż ów Komisarz Pełnomocny uczuł się „zaatakowanym we własnem sumieniu“ tą sprawą Kaczkowskiego. Wyrok lwowski zapadł większością trzech głosów przeciw dwom, lecz w tej większości był głos Naczelnika Okręgu lwowskiego, który jednak sam przyznawał, że dowody po przejrzeniu nie zdawały mu się dostatecznymi i nie był wcale przekonany o winie. Jeżeli skłonił się do zdania dwóch członków i szalę przeważył, to uczynił to tylko „z uwagi na wyjątkowy stan rzeczy“, gdzie trudno było „o oczywiste dowody, a przebaczenie podejrzanemu mogło sprowadzić ciężki cios na całą organizacyę narodową. Naczelnik Okręgu lwowskiego chciał więc, głosując za winą, „wpłynąć na usunięcie Kaczkowskiego z kraju“. — „Żaden z członków organizacyi — dodaje Majewski, — ani samaż organizacya w niczem do ostatnich czasów pobytu mojego w Galicyi, to jest do 13 marca 1864, nie były skrompromitowanemi. Gdyby jednak istotną prawdą było Pańskie przewinienie, choć po usunięciu go z kraju — i zapewne tem więcej — powinniśmy byli uczuć skutki jego działania. Jednak byliśmy spokojni do końca.“

List swój kończy Komisarz Pełnomocny temi słowy:

„Rząd Narodowy ówcześnie i ja i cały kraj, mianowicie Kongresówka, bardzo dotkliwie uczuliśmy to zaskarżenie. Nazwisko bowiem Twoje, Panie, dla prac i zdolności Twoich, nie do Ciebie należy; jest ono własnością całego kraju. Tem więcej też ja, tak go pojmując, czuję wielki ciężar odpowiedzialności mojej. Tak go też czuć winni członkowie sądu owoczesnego, członkowie Wydziału i wszyscy uczciwi Obywatele kraju. Kończąc, jedną prośbę śmiem przesłać dla siebie. Oto, wybacz mi, Szanowny Panie! Wyrzuć z serca żal i gorycze, jakiemi ono przepełnione być musi. A jeśli w życiu przebiegać będziesz myślą przeszłe chwile cierpienia Twojego, pamiętaj, w jakim czasie byliśmy i jak miłość sprawy i obawa o jej powodzenie musiały nas robić drażliwymi i podejrzliwymi.“

Nie wszyscy jednak Obywatele kraju i członkowie Wydziału powodowali się snadź takimi szlachetnymi skrupułami sumienia, jakie skłoniły Pełnomocnego Komisarza Rządu Nar. do napisania powyższego listu. Bo oto w czasie, gdy zdawać się mogło, że wszelkie echa tej smutnej sprawy zanikły, — w lat 27 później — odezwały się one raz jeszcze silnie w cytowanem już przez nas „Wydawnictwie Materyałów do historyi Powstania 1863—1864“. W tomie II. ukazały się „Pamiętniki“ pułkownika Strusia, a w nich rozdział osobny p. t. „Sprawa Zygmunta Kaczkowskiego“. W tomie III. zaś ogłoszono „Dokumenty dotyczące sprawy Z. Kaczkowskiego“.

Rzecz. zaiste, dziwna, prawie nie do wiary, że „dokumenty“ te, które miały służyć za substrat nowego procesu w Paryżu, a których podówczas rzekomo odszukać nie można było, znalazły tu pomieszczenie w całości. aby snadź raz jeszcze pognębić człowieka. którego przed laty zmuszono do opuszczenia kraju!

Łatwo zrozumieć, jak bolesne wrażenie to wznowienie procesu lwowskiego musiało wywrzeć na Kaczkowskim. Zakrzepła rana poczęła na nowo się krwawić w piersiach już podówczas sześćdziesiat kilkoletniego starca.

Aby ten przedmiot całkowicie już wyczerpać i nie potrzebować powracać don później, musimy przeskoczyć lat 27 i przerywając na razie dalsze dzieje „banity“ za granicą, pokrótce przynajmniej przedstawić ten zgoła nieprzewidywany epizod.

Jak krwawo dotknął ten nowy atak Kaczkowskiego, wynika z listu, pisanego do pani Jadwigi Liskowej z dnia 12 grudnia 1890 r.[1]):

„Wyznaję otwarcie — pisze on, — że brutalny napad „Wydawnictwa Materyałów do Historyi Powstania 1863—1864“ bardzo głęboko mnie dotknął, — sprawił on mi niemało nocy bezsennych i do dziś dnia go nie strawiłem.“

Prof. dr. Ksawery Liske, ze zwykłą sobie szlachetnością uczuć i temperamentu, oświadczył też natychmiast gotowość wystąpienia w obronie Kaczkowskiego, za co mu tenże składa podziękowania w liście z d. 21 grudnia 1890 r.[2]). Stanęło na tem, że „Kwartalnik Historyczny“ wydrukuje odpowiedź Kaczkowskiego, której redakcya „Wydawnictwa“ odmówiła miejsca, a zarazem ogłosi to, co „w imię prawdy“ sam prof. Liske uzna za stosowne napisać.

Przy tej sposobności wywiązała się obszerna korespondencya pomiędzy Kaczkowskim a Zygmuntem Miłkowskim (T. T. Jeżem), który dając wyraz swemu oburzeniu na tę niespodziewaną napaść. podawał rozmaite projekty reagowania na nią. a nawet wystąpił z odezwą do „Kół literacko-artystycznych“ we Lwowie i Krakowie, z wezwaniem, by one wzięły tę sprawę w ręce, złożyły sąd i wydały orzeczenie. Kaczkowski, odmawiając wszelkiej kompetencyi tym „Kołom“ do podejmowania tej sprawy i składania jakiegokolwiek sądu, był bardzo z tych odezw Jeża niezadowolony i dał mu to uczuć, jakkolwiek był mu wdzięczny za przyjacielskie zain-

[1]) Ze zbiorów w Bibliotece Ossolińskich, Nr. 4985. Ms.
[2]) Tamże.

teresowanie się tą sprawą. Natomiast prosił prof. Liske'go, by do jego „Odpowiedzi“ dodał „od siebie rzut oka na całość tej sprawy i na wartość ogłoszonych dokumentów, ze swoim własnoręcznym podpisem. To będzie miało daleko więcej wartości, niżeli jakiekolwiek manifestacye Kół artystyczno-literackich.“ [1])

Prof. Liske uczynił zadość prośbie. Na łożu śmierci skreślił własnoręcznie artykuł p. t. „W imię prawdy“, który ukazał się w zeszycie drugim „Kwartalnika Historycznego“ z r. 1891. Zeszyt ten wyszedł już w żałobnych obwódkach, zasłużony bowiem profesor, z wielką dla nauki polskiej szkodą, zgasł dnia 27 lutego. Artykuł ten, to jakby głos zagrobowy szlachetnej, oburzonej ludzką niesprawiedliwością, duszy; powtarzamy go za „Kwartalnikiem“ niemal w całości, jako świadectwo nieuprzedzone, tchnące poczuciem sprawiedliwości, jako pierwszorzędnej wagi dokument.

Po krótkim wstępie, z oznaczeniem tomów i stronic „Wydawnictwa materyałów“, w których sprawa Z. Kaczkowskiego na nowe poruszoną została, pisze ś. p. Liske:

„Po ukazaniu się tomu II. („Wydawnictwa materyałów“) przesłał p. Z. Kaczkowski na ręce jednego ze swych znajomych we Lwowie [2]) obronę swoją, spokojnie i zwięźle napisaną, z prośbą, ażeby ją wraz z zawartymi w niej autentycznymi dokumentami Komitet redakcyjny tegoż wydawnictwa w najbliższym tomie umieścił. Komitet ten stanowczo odmówił, oświadczając, że obrony nie wydrukuje, bo w polemikę się nie bawi. Zasada: *audiatur et altera pars* dla Komitetu redakcyjnego znaczenia nie miała, obwinionemu nie pozwolono się bronić, powtórzyła się przeto scena z r. 1863. Pan Z. K. mógł na podstawie znanego paragrafu prasowego prawa zmusić Komitet do umieszczenia jego odpowiedzi, obrał jednak inną drogę, zwracając się do Redakcyi „Kwartalnika Historycznego“, jako tej, która już poprzednio umieściła recenzye tegoż wydawnictwa, z prośbą, ażeby ona zechciała ogłosić w łamach swych jego obronę; równocześnie zaś przesłał jej o r y g i n a ł y d o k u m e n t ó w, n a k t ó r e s i ę w o b r o n i e s w e j p o w o ł u j e, p r z e z n a c z a j ą c j e d o a r c h i w u m T o w. H i s t o r. Redakcya „Kwartalnika Historycznego“ była gotowa niebawem zadość uczynić życzeniu p. Z. K., chodzi jej bowiem o wyjaśnienie tego faktu historycznego, jak każdego innego. Tymczasem jednak ukazał się tom III. „Wydawnictwa“, a w nim powtórzono doku-

[1]) List z d. 24 stycznia 1891 r. Tamże. Ms.

[2]) prof. dr. Ludwika Finkla.

menta z tomu drugiego, dodając do nich nowe. Należało więc w odpowiedzi swej omówić i te dodatkowe zarzuty, co oczywiście wymagało uzupełnienia obrony. Uskuteczniwszy je, przesłał p. Z. Kaczkowski tę swoją odpowiedź Redaktorowi „Kwartalnika Hist.“, a ten podaje ją czytelnikom swym poniżej.

Mógłbym na tem skończyć, uważam sobie jednak za obowiązek wypowiedzieć choć w kilku słowach zdanie moje o smutnej tej sprawie. Nie potrzebuję przytem zaręczać, że sąd mój opieram na starannem przestudyowaniu wszystkiego tego, co w sprawie tej pisano, czy ze strony p. Z. K. i jego przyjaciół, czy zaś ze strony jego przeciwników. Jako historyk z zawodu zaś dążyłem przez całe życie do bezwzględnej prawdy w badaniach moich, jako człowiek, stojący już jedną nogą w grobie, tem bardziej jedynie tylko prawdą kierować się mogę, chcę i będę, a żadne inne względy na mnie wpływać nie mogą. Tem nieparcyalniej też mogę w sprawie tej się odzywać, ponieważ z p. Z. K. nie łączą mnie ani wspólne zapatrywania polityczne, jeżeli ich wyrazem ze strony p. Z. K. jest „Teka Nieczui“, pożałowania godny wynik nieznajomości spraw krajowych, ani stosunki osobiste, znam go bowiem tylko z korespondencyi. Wypowiadam więc zdanie moje w tej przykrej sprawie tak, jakbym je wygłaszał przed sądem pod przysięgą. Niech czytelników naszych nie dziwi uroczysty ton, w którym przemawiam: chodzi tu jednak o rzecz tak ważną, jak cześć i honor człowieka, a sprawy takiej nie można traktować w usposobieniu innem, jak nader poważnem. — Zdaniem mojem przeto nie mógł Komitet redakcyjny wyświadczyć p. Z. K. większej przysługi, jak ogłaszając w „Wydawnictwie“ dokumenta, mające się odnosić do sprawy jego. Dotąd przeważna większość wykształconej naszej publiczności słyszała coś tam o smutnym tym epizodzie z powstania; nikt jednak prawie nie znał dokładnie tej sprawy, nikt nie wiedział, na czem właściwie sędziowie narodowi lwowscy potępiający swój werdykt oparli. Że zaś, niestety, przeciętna natura ludzka aż za często skłonna jest uwierzyć złemu, aniżeli dobremu, więc mimowoli wielu, zresztą z gruntu uczciwych ludzi, dochodziło do przekonania, że musi być w tem coś prawdy, czepiał się więc jakiś czarny cień imienia człowieka, którego przed powstaniem tak czczono, tak honorowano, uważając go niemal powszechnie za jednę z najpierwszych gwiazd pomiędzy pisarzami naszymi, a prócz tego za osobistość wielce zasłużoną na polu prac narodowych. Teraz po „Wydawnictwie“ każdy, kto ma dobrą wolę, przekonać się może, na jakich to błahych dowodach oparto potępiający wyrok,

do jakiego stopnia czcze, sztucznie naciągane, niczem nieuzasadnione są te rzekome dowody. Teraz widzieć możemy, z jaką to lekkomyślnością w czasach rewolucyjnych postępuje się w tego rodzaju sprawach, z jaką to pochopnością odziera się z czci i sławy osobistość wysokiego uzdolnieniu i rzadkiej pracowitości, wykluczając ją z własnego społeczeństwa, nie pozwalając jej pracować dla tego społeczeństwa, do którego z prawa natury i wewnętrznej skłonności należy. Do wyjaśnienia tej sprawy więc znakomicie się przyczynia „Wydawnictwo“, a p. Strusiowi. publikującemu owe dokumenta. widocznie o to też jedynie chodziło, jak wynika z własnych słów jego (II., 95). Wśród gorączki rewolucyjnej zresztą takie obłędy, jak ów wyrok, wytłumaczyć się jeszcze dadzą, i niezawodnie wszędzie się pojawiały, choć już wtedy nawet nie zbywało p. Z. K. na obrońcach takich, jak K. Ruprecht, W. Majewski, A. Giller, W. Przybylski, dziś jednak po 27 latach, mniemam, nie znalazłby się ani jeden prawy, uczciwy sędzia przysięgły, któryby na podstawie takich dowodów choć na chwilę się zawahał, co powiedzieć: winny, czy niewinny. Są jednak widocznie takie nieszczęśliwe osobistości, nad któremi ciąży jakieś fatum, ściągające na nie podejrzenia nieuzasadnione zgoła niczem. — Jest niezawodnie w sprawie tej strona uczuciowa, bo czyż może drzemać spokojnie uczucie na widok takiego bezprawia? Nie z tej strony jednak chciałbym się zapatrywać na nią, bo uczucie samo może człowieka zaprowadzić na manowce. Mnie rzecz ta zajmowała i zajmuje przedewszystkiem ze strony krytycznej i historycznej, mnie najwięcej fakt ten zajmuje, jako wypadek historyczny, dotąd niewyjaśniony. — My, historycy, zwykliśmy wypowiadać potępiający wyrok na jakąkolwiek osobistość historyczną, mniej lub więcej wybitną, na podstawie dowodów niewzruszonych, dokumentów i zeznań wszechstronnie zbadanych, których autentyczność nie może ulegać najmniejszej wątpliwości. Tutaj zaś: żal się Boże! rzecz ta byłaby bardzo śmieszną, gdyby z drugiej strony nie chodziło o coś takiego, jak cześć człowieka. Weźmy n. p. ową słynną kartkę, na której znajduje się dziewięć liczb, a liczby te oznaczać mają nazwisko wskazanej przez namiestnika Galicyi osobistości, t. j. mają znaczyć: *Vernehme Kaczkowski,* i to na podstawie klucza, który „zakupiono w ministeryum policyi w Wiedniu za 2000 złr.“; nikt jednak klucza tego nie dodaje, nikt go z ogłaszających dokumenta nie widział. Na takiej podstawie w dziewięciu tych liczbach wszystko wyczytać można, co się tylko zechce, a w każdym razie coś rozsądniejszego, niż to, co wyczytał rewo-

lucyjny sąd lwowski, to jest owo słynne: *Vernehme,* mające być częścią nazwiska Kaczkowskiego. Jest to prawdziwe *curiosum,* które mogło wyjść tylko od ludzi, którzy nigdy z szyframi i kluczami do nich nie mieli do czynienia. — Przypatrzmy się jeszcze bliżej temu postępowaniu. O autentyczność dokumentów, mających stanowić dowód winy oskarżonego, nikt zgoła nie pyta, byle był gdziekolwiek na jakim świstku napisany, już służy za rzecz autentyczną. Protokoły zeznań i posiedzeń podaje się zgoła bez wszelkiej daty (n. p. t. III., str. 280); wyroki Rządu Nar. raz mają datę dokładną, kiedy się mówi o nich ogólnikowo i nie przytacza w całości (t. II., str. 100), a potem nie mają żadnej daty, kiedy się je podaje dosłownie według oryginału (t. III., nr. 227). Pod takiemi zeznaniami podpisane są nazwiska zgoła nieznane, o których nikt nie słyszał (n. p. Twardzicki), lub też takie, jak Kruk, bez wyjaśnienia czy to pseudonym, czy nazwisko. Najważniejsze dokumenta cytuje się: „Ze zbioru prywatnego N. N." i na tem koniec. — Depesze przejęte podobno i szyfrowane podaje się w tłumaczeniu polskiem, a nie w rzekomym niemieckim oryginale (t. III., str. 278 i nast.), a prócz tego operuje sią ciągle kluczem, nie umieszczając go nigdzie. — Rządowi każe areopag rewolucyjny używać klucza, o którym rząd wie, że znajduje się już przez przekupstwo w ręku władz narodowych, każe mu wysyłać depesze szyfrowane przez ręce tych samych urzędników, z których jeden takież depesze i listy zdradziecko wydał władzom narodowym. Cóż za naiwność! Cóż za potworna niekonsekwencya i brak wszelkiej ścisłości i metody! — Każe się wreszcie wierzyć czytelnikowi na proste słowo, jakoby ta i owa depesza odnosiła się do sprawy p. Z. K., każe się — mówię — wierzyć, że Namiestnik, kiedy pisze Heubauer, rozumie przez to Z. Kaczkowskiego. Lecz dosyć tych potworności! — Sądzę, że krótki mój wywód zakończyć mogę słowami wziętemi z orzeczenia ś. p. M. Kabata, a podanemi w całej rozciągłości przez p. Strusia: „Istota czynu wcale nie znajduje się w przedłożonych aktach i relacyach, i to ani co do osoby, mianowicie, *że* zdradził, ani co do rzeczy, *co* zdradził, ani też istotnych dowodów niema żadnych (t. II., str. 99)." Kiedy się oskarża człowieka o morderstwo, musiano gdzieś takie popełnić, tutaj zaś potępiają wybitną osobistość o tak potworną rzecz, jak zdrada, a nawet istota czynu nie jest skonstatowaną. Czy to nie okropne?

A teraz, wypowiedziawszy pokrótce nasze zdanie, oddajemy głos samemu p. Z. Kaczkowskiemu.

Xawery Liske."

Odpowiedzi tej Kaczkowskiego nie podajemy, nie zawiera bowiem żadnych nowych, prócz znanych nam już, szczegółów.

Staraliśmy się przedstawić tę sprawę, o ile było można szczegółowo, podnosząc to wszystko, co mogło mieć w jej ocenieniu zasadnicze znaczenie; sądziliśmy bowiem, że wyjaśnienie jej dokładne, na wiarygodnych dokumentach i głosach poważnych oparte, jest obywatelskim obowiązkiem w obec polskiego pisarza, mającego na tem polu niezaprzeczone zasługi, a na którego życiu tak ciężkiem ona zaważyła brzemieniem, że nawet w chwili śmierci, jakto później obaczymy, ozwała się w przedzgonnym proteście.

Pozostał nam jeszcze jeden szczegół do wyjaśnienia, odnoszący się do materyalnej sytuacyi Kaczkowskiego, którą wrogowie jego przedstawić usiłowali jako wprost rozpaczliwą i uzasadniającą podejrzenie o popełnienie zdrady — za pieniądze.

Otóż na podstawie wiarygodnych, bo sądowych, dokumentów z lat 1860—1861 [1]) możemy stwierdzić, że jego ówczesna sytuacya finansowa nie przedstawiała się bynajmniej krytycznie. Miał wprawdzie długi, a raczej dłużki, jak n. p. za pobrane na wieś wiktuały winien był kupcowi Wolfowi Horowitzowi w Sanoku czy Przemyślu 156 złr. i 29 złr.; to znowu jakiemuś Janowi Moskalikowi 42 złr., Fewlowi Selcerowi 525 złr. oraz Ettli Dymowej w Sanoku także 525 złr. (prawdopodobnie ta sama pretensya odstąpiona przez Selcera Dymowej), wreszcie Abiszowi Kannerowi z Sanoka 120 złr., która to jednak ostatnia pretensya całkowicie pokrytą była kwotą, należącą się Kaczkowskiemu od skarbu wojskowego za dostarczone siano, słomę, owies i t. p. — Pretensye te, wynoszące najwyżej około tysiąca paręset złr., po większej części zgłoszone i zaskarżone zostały już w tym czasie, gdy Kaczkowski, w skutek procesu, wytoczonego redakcyi „Głosu“, siedział w więzieniu i nie mógł ich załatwić.

Jak wiadomo, posiadał jeszcze Kaczkowtki wieś Bereźnicę wyżną w Sanockiem, obciążoną nieznacznym stosunkowo długiem w Towarzystwie kredytowem ziemskiem, która oczywiście mogła z łatwością pokryć owe „dłużki“. — Że o długach swoich Kaczkowski pamiętał, dowodzi list jego, pisany już z Paryża dnia 23 kwietnia 1864 r. do jednego z adwokatów lwowskich, w którym czytamy:

---

[1]) Udzielonych nam łaskawie przez p. Franciszka Rawitę-Gawrońskiego.

„Wyjechawszy niespodzianie ze Lwowa, zostawiłem tam cokolwiek niepopłaconych rachunków. Wszystkie te pretensye są po największej części słuszne, tylko niektóre z nich, jak n. p. krawca Bałutowskiego, są cokolwiek przesadzone.“ [1])

Kaczkowski zapewnia, że te wszystkie pretensye zaspokoi najdalej do czerwca. Niepokoi go jednak bardzo sytuacya Bereźnicy, którą wydzierżawił niejakiemu Wierzbowskiemu. Dzierżawca ten zawiódł jego oczekiwania, — rat dzierżawnych nie płacił; nie płacił również rat, należnych Towarzystwu kredytowemu ziemskiemu (po 131 złr. półrocznie), z opłatą podatków także zalegał, budynki i las niszczył i prawie żadnych zasiewów nie czynił. — Kaczkowski dziękuje z wylaniem owemu adwokatowi, że wziął te interesa w swoją opiekę i prosi usilnie o rozwiązanie kontraktu z Wierzbowskim, wyrzucenie go z dzierżawy i wytoczenie mu procesu o zwrot strat i szkód, które oblicza na przeszło 7000 złr., co uzasadnia szczegółowo w osobnej „informacyi“, własnoręcznie pisanej, w której podaje sposoby ratowania Bereźnicy, gdyż Tow. kred. ziemskie, w skutek niezapłacenia 3 rat przez Wierzbowskiego, już było rozpisało licytacyę. [2])

Dopiero też wówczas sytuacya stała się krytyczną. „Wtedy zaś — pisze Kaczkowski do pani Ksawerowej Liskowej, z Paryża, d. 12 grudnia 1890 r. [3]), — kiedy, według podania tych panów, za parę tysięcy guldenów sprzedałem Ojczyznę, miałem przecież wieś, stosunkowo znaczne zapasy ruchomości nawet we Lwowie i zgoła żadnych długów. Wieś potem poszła z dymem, ale kiedy? — wtedy, gdy już byłem na emigracyi (1864—1865).“

Jest zresztą rzeczą wprost nieprawdopodobną, aby człowiek takiego hartu i siły woli, który nawet w krytycznej chwili swego wyjazdu ze Lwowa, jakto widzieliśmy, nie tracił zaufania we własne siły, owszem, był przekonania, że da sobie radę na szerokim świecie, aby człowiek taki, dla małych dłużków w Sanoku czy Przemyślu, dał się za marne pieniądze przekupić. Podejrzenie takie mogło się chyba wyrodzić w umysłach, bardzo stronniczo usposobionych i rozgorączkowanych namiętnościami politycznemi.

---

[1]) List ze zbiorów pani H. Dąbczańskiej. Ms.

[2]) „Informacya“ ze zbiorów pani Heleny Dąbczańskiej. Ms.

[3]) Zbiór listów w Bibliotece Ossolińskich, Nr. 4985. Ms.

Sytuacya finansowa Kaczkowskiego, jako właściciela Bereźnicy, stała się dopiero później, już w czasie jego „banicyi“, krytyczną, ale i z niej potrafił się wydobyć, a raczej stworzył sobie inną, znacznie świetniejszą, za granicą, gdzie nietylko zdobył znaczny stosunkowo majątek, lecz i niemałe, jak to w dalszym ciągu zobaczymy, znaczenie. [1])

---

[1]) Już po wydrukowaniu niniejszego rozdziału, otrzymałem od p. dr. Ludomira Lewandowskiego, adwokata kraj. w Dobczycach, list, świadczący, że Kornel Ujejski, przeczytawszy artykuły, zamieszczone w „Kwartalniku historycznym“, w sprawie procesu Zygmunta Kaczkowskiego z r. 1863, żałował swojego ówczesnego postępowania. Dr. Lewandowski poznał poetę u jego brata stryjecznego, Zdzisława Ujejskiego, w Wygnance. Po przeczytaniu owych artykułów, twórca „Chorału“ przyznał — pisze dr. Lewandowski — „że brał udział w sądzie, był jednym z członków trybunału i głosował przeciw Kaczkowskiemu, ale że dzisiaj musi siebie potępić; dziwi się, jak mógł wydawać wyrok potępienia na tak błahych podejrzeniach. Tłumaczył się, że wtenczas wszyscy byli w gorączce i t. d. Tę całą okoliczność dobrze sobie przypominam i że od samego Kornela U. dopiero dowiedziałem się, że on był jednym z sędziów, o czem przedtem nie wiedziałem“.

To świadectwo dr. Lewandowskiego, wywołane ustępem niniejszej pracy, zamieszczonym w zeszycie styczniowym „Przewodnika“, jest niezmiernie cenne dla pamięci zarówno twórcy „Chorału“, jak i Zygmunta Kaczkowskiego. *Przypisek Autora.*

Adam Krechowiecki.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Karol Baliński.

(Studyum biograficzno-literackie.)

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ III.

(Warszawa. — Jarosławiec. — Ruch literacki na gruncie warszawskim wśród młodzieży. — Jej ideje i dążenia. — Udział Balińskiego w życiu literackiem. — Rozbiór utworów, podówczas w czasopismach warszawskich drukowanych. — Dalszy ruch i działalność wspomnianych powyżej tajnych stowarzyszeń. — Przygotowania do powstania r. 1846. — Przedwczesny wybuch powstania i smutne jego następstwa. — Obraz Warszawy w r. 1846. — Utwory Balińskiego, pod wrażeniem r. 1846 pisane. — Uwięzienie Balińskiego. — Wypuszczenie jego na wolność w r. 1847.)

Baliński, przybywszy w roku 1842 do Warszawy, doznał bolesnego rozczarowania. Narzeczona, do której tęsknił na Syberyi, pogardziła jego miłością; spełniły się więc smutne jego przeczucia, wyrażone w powyżwspomnianym „Obrazku“. Cierpiący moralnie poeta, a po części i fizycznie skutkiem pobytu na Syberyi, — nie upadł jednakże na duchu i nie poddał się rozpaczy. Z bolesną rezygnacyą przyjął ten cios i bardzo rzadko potrącał o tę strunę osobistą w swych poezyach; nie uważał bowiem za rzecz godną roztkliwiać się nad własnym bolem, gdy równocześnie odczuwał milionowe cierpienia swego narodu. Choć tkliwe jego serce odczuwało boleśnie swoją stratę, uznało przecie, że godzi się własną boleść złożyć w ofierze na ołtarzu dobra publicznego, poświęcić

życie jedynie na usługi ukochanej Ojczyźnie, dla której żyć i umierać należy. I widzimy, że jak dotąd, tak i potem życie jego będzie jednem pasmem poświęceń i cierpleń za sprawy narodowe.

W tym też roku wyszły w Warszawie „Powieści ludu, spisane z podań przez Karola Balińskiego“, a wydane staraniem Wł. K. Wójcickiego. Autorstwo tychże przypisują mylnie niektórzy historycy literatury, idąc za podaniem Leona Rogalskiego, naszemu poecie, jakkolwiek to jest rzeczą niemożebną. Po pierwsze, w czasie pojawiania się niektórych powiastek w „Bibliotece Warszawskiej“, jak „Tomiła“, tom I., „Zwierciadło“ i „Potępiona“, tom IV., r. 1841, — nasz Baliński przebywał (od r. 1838) na Syberyi, a przedtem nie trudnił się zbieraniem podań ludowych; powtóre, w przedmowie swej do „Pism“ o tem nie wspomina, jakoby się trudnił kiedykolwiek zbieraniem powieści ludowych, co niezawodnie byłby uczynił; wreszcie i sam Wł. K. Wójcicki, jako przyjaciel Balińskiego, w swej „Historyi literatury polskiej“, tom IV., byłby o tem wzmiankę uczynił i zaliczył „Powieści ludu“ do dzieł naszego poety. Fakt ten nie ulega żadnej wątpliwości, że autorem „Powieści ludu“ był inny Karol Baliński, który — podług twierdzenia przez p. Roberta Przegalińskiego — żył współcześnie, był archiwistą przy b. sądzie apelacyjnym w Warszawie i zmarł tamże jako emeryt.[1])

Z Warszawy wyjechał Baliński bezzwłocznie do Jarosławca, gdzie najstarszy brat, Antoni, ożeniony przed r. 1840 z Konstancyą z domu Balicką, kierował gospodarstwem. Starszy brat, Aureli, pełnił w tym czasie obowiązki guwernera w jednym z możnych domów; z posady nie był zadowolony, doznawał wielu przykrości od chlebodawców i żalił się przed Karolem, który z gorzką ironią opisuje jego położenie:

„Starszy z głodu nie umrze! — ma kawałek chleba
Wyborny — najhojniejszy podarunek nieba!
Chleb, okupiony codzień tysiącem męczarni,
Co walczy o pierwszeństwo z paszą pańskiej psiarni,
Chleb pogardy, ohydy i dumnej litości —
Oto chleb mego brata! Wszak godzien zazdrości?

Młodszy zaś, Tomasz, pozostawał podówczas w Jarosławcu i pomagał najstarszemu w gospodarstwie; prawdopodobnie bawiła przy

---

[1]) Ziemia Lubelska, r. 1906 (Wspomnienia o znakomitym poecie Karolu Balińskim, urodz. w ziemi Lubelskiej, — przez Roberta Przegalińskiego).

bracie i siostra Karolina, jeśli już przedtem nie wyszła za mąż. Na łonie więc rodzeństwa szukał Karol pociechy i ukojenia boleści po stracie ukochanej osoby. Bracia przyjęli go nader serdecznie, i tu przemieszkiwał Karol z przerwami do roku 1848, gdyż częściowo, zwłaszcza w porze jesiennej i zimowej przebywał w Warszawie.

Zaraz po powrocie wszedł Baliński w sam wir życia umysłowego warszawskiego. Młodzi literaci i artyści wszelkich kategoryj skupiali się w owym czasie w domu państwa Łuszczewskich, Skimborowiczów i Wilkońskich, których domy stały się niejako ogniskami ruchu literackiego i ustalały sobie nazwę „salonów literackich". W nich prowadzono obszerne dyskusye na najróżnorodniejsze tematy, tu powstawały projekty założenia pism zbiorowych, które w tym czasie poczęto szybko wprowadzać w życie; młodzież bowiem literacka, nie mając z powodu bardzo ubogiego wówczas piśmiennictwa peryodycznego możności wyrażenia swych sił literackich, postanowiła w ten sposób popularyzować płody swego ducha. Pisma te zakładano pod rozmaitemi nazwami głównie dla świata literackiego, ogół bowiem mało interesował się życiem literackiem i zasypiał w błogim letargu, wśród wygód materyalnych. Założenie więc pisma zbiorowego lub peryodycznego nie było bynajmniej obliczone na zysk materyalny, było raczej potrzebą ducha samych założycieli i dowodem ofiarności autorów, którzy się dla ideowych celów solidaryzowali i wspierali nawzajem. Życie umysłowe aż do tego czasu ogniskowało się głównie po wsiach, we dworach, i miało raczej francuski charakter, ponieważ dzieci wychowywano pod kierunkiem bon i nauczycielek Francuzek, które rugowały zamiłowanie do rzeczy rodzimych, a same matki rozczytywały się prawie wyłącznie w romantycznych powieściach francuskich i wzdychały ciągle do pełnego swobody życia Paryża, jak do drugiej ojczyzny. Szkoły wyższe, jak już wiemy, skasowano po powstaniu listopadowem z obawy przed rzekomą hiperprodukcyą wyższej inteligencyi, skłonnej do organizowania tajnych związków o celach polityczno-narodowych. Młodzież zatem drogą zakładania pism zbiorowych postanowiła rozbudzić żywy ruch umysłowy, lubo podjęte przez nią zadanie napotykało na wielkie trudności dla braku odowiednich na ten cel funduszów, tem bardziej, że nie mogła ona wcale liczyć na poparcie większej liczby abonentów, głosząc krańcowe i sprzeczne hasła z uświęconemi zasadami ogółu. — Skrajne to jej stanowisko raziło społeczeństwo, młodzież zaś wypowiedziała mu otwartą walkę w imię nowej ery piśmienniczej,

z nowym programem zasad i ideałów społecznych. Zgodnie z duchem romantyzmu przejmowała wierzenia ludu i cały świat fantastyczny, wyobraźnią jego stworzony; duchy, czary, czarnoksięskie zaklęcia i nadprzyrodzone zjawiska, które wypełniały wyobraźnię ludu, zyskały w ich utworach prawo obywatelstwa. Lud dominował w ich poezyach wyidealizowany i ubóstwiony, pełen wymarzonych cnót, jakich nie posiadały inne warstwy społeczeństwa.

Rzecz zupełnie zrozumiała, że takie nawskróś zdemokratyzowane zasady nie mogły się podobać społeczeństwu, którego zapatrywania tkwiły jeszcze silnie w reakcyjnej tradycyi. Wyznawcy nowych idei wypowiedzieli walkę ogółowi nietylko na tem polu, ale prawie na wszystkich; zaczęli lekceważyć z prawdziwą nonszalancyą konwecyonalne zwyczaje i mody, dając przez to do zrozumienia, że nie dbają o wygląd zewnętrzny i formy etykietalne, ale o wartość moralną, duchową. Przyznać jednakże należy, że w tej nonszalancyi przekraczali czasem granice. W myśl więc podobnych zapatrywań nie przykładali żadnej wartości do majątku, mało też który z nich troszczył się o zabezpieczenie sobie trwałej podstawy materyalnej egzystencyi: żyli z dnia na dzień, prowadząc życie koczownicze, jak cyganie; ztąd przyjęli nawet nazwę cyganów. Do nich należeli nietylko niepospolici, ale i znakomici poeci, jak: Cypryan Norwid, Lenartowicz, Gustaw Zieliński, Włodzimierz Wolski, Karol Brzozowski, nasz Baliński i wielu innych mniej lub więcej utalentowanych pisarzy. Gromadzili się oni w domu państwa Wilkońskich, pod nazwą „Cechu Głupców“, i dzielili swoje epitety jeszcze na stopnie pocieszne: „najgłupszy“, „przeważnie głupi“, „tkliwie głupi“, „kwaśno głupi“ i t. d. — U państwa zaś Skimborowiczów skupiali się t. zw. „Entuzyaści“, do których prócz redaktorów „Przeglądu „Naukowego“ i „Cyganów“ należało także wiele kobiet, jak: „Gabryela“ (Narcyza Żmichowska), Emilia Gosselin, Kazimiera Ziemięcka, Julia Janiszewska, Zofia Mielecka, Walentyna Trojanowska, Eleonora Ziemięcka, Walerya Mateiska-Morzkowska, Izabela Zbigniewska, słowem, cały świat piękności i zdolności kobiecych.

„Cyganie“ i „Entuzyaści“ (zazwyczaj zlewały się z sobą te epitety), obok różnych ekscentrycznych wybryków, zajęci byli ciągle najszczytniejszemi zagadnieniami ludzkości; roztrząsali przeróżne wszechświatowe kwestye, snuli szerokie poglądy, a dusza ich pałała nieustanną chęcią wcielania w czyn tych niebotycznych pomysłów. W licznem ich gronie schodziły się najróżnorodniejsze zapatrywania; obok ludzi, o prawdziwej, głębokiej religijności,

graniczącej z surowym ascetyzmem, można zauważyć tu i heretyków; mimo atoli różnic poglądów żyli w przykładnej przyjaźni i zgodzie, snując wspólnie wielkie zamiary.

Tym dwom domom literackim przewodniczył niejako „salon literacki" państwa Łuszczewskich, w którym bywali także i stanowili jego cząstkę i „Cyganie" i Entuzyaści". Domy te literackie nie stanowiły konkurencyi dla siebie, ale się wzajem uzupełniały, albowiem wieczory literackie odbywały się w nich w różnych dniach tygodnia. U państwa Łuszczewskich gromadziły się same znakomitości literackie, artystyczne i rodowe, kto więc odznaczył się czemś na jakiem polu, miał temsamem wstęp do „salonu" otwarty. Bywali tu: Józef Ignacy Kraszewski, Józef Korzeniowski, genialny mistrz tonów Moniuszko i utalentowany muzyk Biernacki, słowem, cały świat kultury, świat ducha.[1])

W takiem więc środowisku obracał się nasz poeta w Warszawie po powrocie z Syberyi. Ruchliwa i sympatyczna ta atmosfera oddziaływała niewątpliwie bardzo korzystnie na Karola w kierunku pracy literackiej i w kierunku łagodzenia boleści, jaką odczuwał skutkiem zawiedzionej miłości. Pod działaniem takich sprzyjających wpływów rozwinął teraz skrzydła i pisał stosunkowo dosyć dużo, będąc równocześnie zawsze czynnym i w różnych tajnych stowarzyszeniach. Do „salonu" państwa Łuszczewskich wszedł Baliński prawdopodobnie w r. 1844, po ukazaniu się w „Bibliotece Warszawskiej" jednego z najznakomitszych jego utworów p. t. „Farys-Wieszcz", który od razu zjednał mu u ówczesnej młodzieży literackiej imię znakomitego poety. Utwór ten, okolicznościowy niejako, gdyż napisany pod wrażeniem rozwijającego się tajnego związku ks. Ściegiennego, był rozchwytany przez młodzież warszawską, która pojęła i zrozumiała należycie treść jego. Młodzi bowiem literaci, tworząc w łonie Warszawy jakby drugi świat o wyższej duchowej kulturze, świat artystyczny, uważali każdy znakomitszy utwór swego kolegi za wspólny niejako płód ducha i cieszyli się wspólnie jego pięknością i powodzeniem. Właśnie w czasie pojawienia się „Farysa-Wieszcza" Balińskiego, kiedy młodzież warszawska pozostawała jeszcze pod świeżem wrażeniem jego uroku i zapału, przybył do Warszawy Kornel Ujejski, który po latach wielu, w liście do p. F. z Wasilewskich Boberskiej (która, pisząc

---

[1]) „Cyganerya Warszawska", przez Marrene-Morzkowską. — „Pamiętnik Deotymy" („Biblioteka Warszawska", r. 1910).

biografię Balińskiego, prosiła go i informacyę), tak opisuje swoje spostrzeżenia:

„Podczas mojej bytności w Warszawie w r. 1844 kipiała ona pod świeżem wrażeniem „Farysa“ Balińskiego. Nadspodziewanie udało się „Bibliotece Warszawskiej“ przemycić go przez cenzurę, tym razem o zmęczonem oku. Na stepach kirgizkich musiał urodzić się ten syn Karola i pustyni. Z uciśnionej piersi skazańca wyleciał on jak płomień na lot, na oddech, na swobodę.“

Sąd znakomitego poety jest chyba miarodajnym w kierunku oceny wartości tego utworu. Za tło obrał Baliński step kirgizki, by przemycić go szczęśliwie przez baczną cenzurę warszawską; młodzież jednak poznała w nim siebie, górny lot swych młodych skrzydeł i zapał swej wiary w świt słońca wolności, do którego wiecznie tęsknił:

„Farys — step mówi, — to dziecię moje!
To duch, tęsknotą nieba trawiony,
Zesłany tutaj na ciągłe boje,
Na ciągłych pragnień żar niezgaszony!
A tak mu trzeba nieba i słońca,
Że tylko za nim pędzi bez końca!“

Huragan stepowy, po którego burzliwym pochodzie ścielą się tylko mogiły, — to car, który:

„...farysów pochłonął w sobie!
Pochłonął żywcem braci kochanych!“

W końcowych zwrotkach wiersza wyraża poeta w imieniu farysów, ożywionych młodzieńczą siłą i orlim lotem swej młodości, wiarę, że:

„Allah wysłucha — wnet grzmiące głosy
Wystraszą w głębi śpiących tygrysów,
I okrzyk szczęścia buchnie w niebogłosy!...“

Okrzyk szczęścia narodowego po zwyciężeniu wrogów-tygrysów, które czuwają w głębi Ojczyzny z obawy, by się z letargu nie przebudziła. W utworze tym znać wpływ „Farysa“ Mickiewicza, gdyż Baliński, podobnie jak i większość poetów tej doby, pozostawał w tym czasie pod przeważnym wpływem wieszczej poezyi Adama.

Baliński wszedł do związku ks. Ściegiennego, który w tym roku począł się szybko rozwijać. Gorący ten patryota bolał bardzo nad przykrem położeniem ludu. Pragnął więc wyzwolić go z wię-

zów pańszczyzny i uświadomić narodowo, by chwycił za broń w walce o niepodległość. Do pracy tej zabrał się ks. Ściegienny z całą gorliwością i poświęceniem. Ogłosił bullę niejako w imieniu Papieża w formie odezwy do ludu, która wskazywała mu drogę wyzwolenia z jarzma pańszczyzny i polepszenia losu. Treść bulli, poruszając najżywotniejsze kwestye społeczne, trafiała ludowi do przekonania i gotów był iść za jej głosem i drogą rewolucyi dochodzić słusznych swych praw, oraz walczyć o niepodległość. Zbytni jednak pospiech i brak należytej przezorności ze strony ks. Ściegiennego unicestwił jego wielkie zamiary, a także fakt, że bez należytego poprzedniego przygotowania i uświadomienia szerokich warstw ludowych pragnął dokonać gruntowych reform społecznych i przeprowadzić walkę o wolność narodu. Idee te szczytne wymagały dla urzeczywistnienia przygotowawczej pracy, zwłaszcza, że chodziło o powołanie pod ich hasła ogółu ludności wiejskiej, której nieświadomość w tym względzie mógł rząd carski wyzyskać na swą korzyść. Skutkiem zdrady ujęto ks. Ściegiennego i skazano na szubienicę, lecz w ostatniej chwili zamieniono karę śmierci na katorgę w kopalniach sybirskich w Nerczyńsku, dokąd go wysłano w r. 1845. W dwanaście lat później ułaskawiono go o tyle, że katorgę złagodzono na osiedlenie na Syberyi. W r. 1867 pozwolono mu wrócić do kraju. Znękany Sybirem, tułał się w kraju po powrocie bez środków do życia. Dopiero ostatnich kilka lat życia spędził jako kapelan przy szpitalu Bonifratrów w Lublinie. I tak zakończył tułaczy swój żywot.[1])

Z przykładów, dotychczas przytaczanych, widzimy, że idee demokratyczne, oparte na zasadach poprawy położenia ludu, wcielane jako ideały społeczne przez romantyczną poezyę, zyskują coraz szerszy odgłos w społeczeństwie szlacheckiem i liczą coraz większy zastęp zwolenników; snadź społeczeństwo zaczęło już odczuwać potrzebę reform, odpowiadających duchowi czasu i zwracać baczniejszą uwagę na lud, którego mocy chciało użyć w walce o niepodległość. Od czasu wystąpienia Brodzińskiego lud staje się najważniejszym czynnikiem nietylko w dziełach romantycznej poezyi, ale także znaczącym w sferze zagadnień, dotyczących kwestyi walki o niepodległość i jej powodzenia. Nie brakło wprawdzie i w przeszłości szlachetnych inicyatorów, jak: Modrzewski, Skarga, Klonowicz, król Stanisław Leszczyński, Kołłątaj, Staszyc, którzy pra-

---

[1]) „Jak chłopi polscy walczyli o wolność“, zeszyt I. Kraków 1907.

gnęli reform społecznych na korzyść ludu. lecz głosy ich, z wyjątkiem Kołłątaja i Staszyca. których niestrudzona praca wydawała owoce w Konstytucyi 3 Maja, pozostały bez echa w społeczeństwie, były głosem, wołających na puszczy. Dopiero po rozbiorach Polski zrozumiało społeczeństwo szlacheckie, że uwolnienie z niewoli pańszczyzny i uświadomienie ludu łączy się ściśle z kwestyą przyszłości Polski, że mając na uwadze walkę o niepodległość polityczną. trzeba rozwiązać piekące sprawy społeczne, trzeba dokonać równouprawnienia społeczno-politycznego wszystkich warstw narodu, by z należytem zrozumieniem idei wolności — i z odczuciem jej potrzeby podjęły solidarnie walkę o niepodległość.

Tak więc powoli wchodził lud do literatury, a poezya romantyczna zajmuje się wybitnie ludem jego pieśniami i opowieściami; odtąd w poezyi XIX. i XX wieku trwa nieprzerwanie jako jeden z najważniejszych czynników społecznych, zlewający się zgodnie z rzetelnem uczuciem patryotycznem, wysuwającem na pierwszy plan sprawę niepodległego bytu Polski. Nie dziw więc. że Baliński, „którego całe życie było jedną wielką służbą Ojczyźnie, którego wszystkie pisma i wszystkie czyny wypłynęły z miłości Boga i miłości Polski", wszedł do związku ks. Sciegiennego, mającego za cel poprawę doli ludu i walkę o niepodległość.

W roku ukazania się „Farysa-Wieszcza" wydał Baliński wspólnie z Marcinem Ossoryją (Cieplińskim) pismo zbiorowe p. t. „Snopek nadwiślański", którego wyszły dwa tomy w roku 1844 i 1845. Oprócz utworów Balinskiego i Ossoryji, pismo to mieści utwory takich pisarzy, jak: Kraszewski. Lenartowicz, Gustaw Zieliński, Karol Brzozowski, Włodzimierz Wolski, A. Wilkoński, Wł. K. Wójcicki, Dzierzkowski, B. Dziekoński i wielu innych mniej lub więcej znanych. W tomie z r. 1844 mamy trzy utwory Balińskiego, dwa wiersze: „Kwiat paproć" i „Do ... na Nowy Rok", oraz powiastkę prozą p. t. „Życie za uśmiech". W wierszu „Kwiat paproć" odzywa się echo miłości poety. Poeta porównywa miłość kobiety z kwiatem paproci, w którego istnienie lud szczerze wierzy ; podobnie, jak lud w złudny kwiat paproci, tak poeta wierzył z zapałem w miłość kobiety, póki bolesny zawód nie zmroził mu serca i nie zwarzył gorącej wiary; choć sam nie może już obudzić w sercu wiary w miłość, każe jednak współtowarzyszom kochać i wierzyć, bo — „szczęście w złudzeniu". W wierszu zaś „Do ... na Nowy Rok" przypomina poeta z gorżką ironią byłej swej narzeczonej wszystkie jej zapewnienia i przysięgi miłości i składa je jej jako życzenia noworoczne:

„Ja ci, prócz życzeń, dary przynoszę w ofierze:
Są to Twoje zaklęcia, Twoje obietnice,
Wszystkie słówka, miłością tchnące i nadzieją,
Wszystkie Twoje spojrzenia — te czary kobiéce!
Zniszcz je — niech świat zapomni, niech wiatry rozwieją!“

W powiastce „Życie za uśmiech“ daje nam poeta smutny obrazek z życia pewnego towarzysza, który z powodu niewierności ukochanej żony pozbawił się zbyt młodego życia.

W tomie drugim „Snopka nadwiślańskiego“ mamy także trzy utwory Balińskiego, dwa poetyckie: „Gęślarz“ i „Prawdziwa piękność“, i nowelę, zatytułowaną „Z pamiętników upiora“. „Gęślarz“ — to drobna powieść poetycka, której treścią jest miłość księżniczki do gęślarza, człowieka z gminu“. O rękę księżniczki ubiegają się różni panowie i książęta, ale ona hołdy ich odrzuca dla miłości gęślarza. Rozgniewany ojciec kazał ją osadzić w klasztornej celi, w leśnej ustroni, aby w osamotnieniu i wiecznej tęsknocie konała powoli. Biednego grajka zabiła rozpacz przy jednej z kolumn jej klasztoru; księżniczka dla uczczenia pamięci ukochanego wzniosła kamienny pomnik, przedstawiający grajka w ostatnich chwilach dogasającego życia:

„Posąg tył głowy wsparł na kolumnie,
Ręce w krzyż zbiegłe na piersiach ciężą,
Czoło wzniesione myśląco, dumnie,
Może w niem myśli się lężą?
Na ziemi leży bardon rzucony,
Lecz czemuż wszystkie zerwane struny?“

„Prawdziwa piękność“ zawięra piękną myśl moralną, że wartości człowieka nie należy oceniać z pozorów, z zewnętrznych przymiotów, ale potrzeba patrzeć na wewnętrzne zalety, na piękność duszy. W „Pamiętnikach upiora“ dotyka poeta po raz ostatni z boleścią swej głębokiej rany serca, jaką mu zadała niewierność narzeczonej. Rozżalony i zgorżkniały, pod wpływem bolu mówi: „To serce za życia było przyczyną wszystkich moich najboleśniejszych męczarń. — Po co serce na świecie? Serce na świecie! to musi być jakaś pomyłka! okropna pomyłka! serce na świecie: serce i świat! To dwa tak niecierpiące siebie przeciwieństwa, że nawet niema porównania, któremby można wyrazić ich stosunek, ich mienie się do siebie! Tyle już wymarzyłem, wyrozumowałem, wycierpiałem przez siebie i przez drugich, tyle już zerwałem owoców z tego drzewa wiadomości złego i dobrego, a dotychczas po śmierci

nawet, ani domyślić się mogę na co serce prawdziwie czujące?! Nie serce — zegarek, nie serce — kamień, nie serce kobiece, ale serce — serce, serce człowieka — człowieka!“

Poeta słuszny ma powód do tego rozgoryczenia; miał bowiem naprawdę czujące serce, wrażliwe na dolę i niedolę braci-towarzyszów, i wogóle bliźnich, serce to kochało całą mocą młodzieńczego wieku narzeczoną; serce to przejęło się do głębi milionowem cierpieniem narodu i cierpiało katusze w Cytadeli i na wygnaniu za sprawy narodowe, miało więc prawo do szczęścia, lecz niestety wypiło do dna kielich goryczy i zawodu, gdyż narzeczona nie umiała ocenić jego cierpień i zacności serca i odpłaciła mu zmiennością. W tym utworze wylał poeta po raz ostatni osobiste żale zranionego serca.

Dr. Jan Mirwiński.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ODP. REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI. — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ“.